Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 38 | Niedziela, dnia 16 września 1928 roku | Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

DZIEWIĘĆ PROJEKTÓW.

WEDŁUG INFORMACYJ prasowych w łonie grup rządowych opracowano aż dziewięć projektów konstytucyjnych. Są to podobno projekty zmian w obowiązującej obecnie konstytucji marcowej oraz projekty zupełnie nowych ustaw konstytucyjnych.

Jeżeli informacje te odpowiadają rzeczywistości, to widzimy w tem potwierdzenie naszych przypuszczeń, niejednokrotnie na tem miejscu wyrażonych, że mianowicie żaden z tych projektów nie został opracowany na skutek inicjatywy czynników rządowych.

Sprawa reformy konstytucji naszej jest naszem zdaniem sprawą Marszałka Piłsudskiego, gdyż jest logicznem następstwem wystąpienia Marszałka w maju 1926 r. Nie przypuszczamy też, by Marszałek powierzył komukolwiek dokończenie i wykończenie dzieła, które wówczas rozpoczął.

Dlatego sądzimy, że bezcelowem jest zajmowanie się projektami, które pojawiają się obecnie. Jeżeli Polska otrzyma nową konstytucję, zasadnicze jej tezy przywiezie Marszałek z Rumunji, gdzie bawi obecnie i prawdopodobnie — zdala od zgiełku politycznego — pracuje.

* * *

TARGI.

PREMJER BARTEL, bawiąc na Targach Wschodnich we Lwowie, powiedział znowu kilka słów, które trafiają w sedno niezmiernie ważnego zagadnienia. Oto uwagi p. premjera:

> **„Racja istnienia Targów Wschodnich zdaje mi się leżeć jedynie w sposobności propagandy wytworów przemysłu krajowego. Winny to być targi krajowe w tem zrozumieniu, że wystawia się na nich i sprzedaje produkty rodzime, wytworzone ręką polskiego robotnika. Racjonalności URZĄDZANIA TARGÓW, JAKO PROPAGANDY IMPORTU NIE ROZUMIEM ANI JAKO OBYWATEL, ANI JAKO POLSKI MINISTER.**
>
> **Byłem w wielkim pawilonie automobilowym. Prosiłem oprowadzających, aby pokazano mi przedewszystkiem polskie samochody „Stetysz" i „Ursus". Ku największemu memu zdziwieniu dowiaduję się, że wcale ich niema na targach. W sąsiednim pawilonie podszedłem do będącego w ruchu motoru Diesla. Spodziewałem się zobaczyć polską konstrukcję prof. Ebermana w wykonaniu krajowem. Nic podobnego; MOTOR POCHODZIŁ Z PAŃSTWA OBCEGO, Z KTÓRYM NIE MAMY NAWET TRAKTATU HANDLOWEGO.**
>
> **Przykładów takich widziałem na targach bardzo długi szereg. Nie przypuszczam, aby polski przemysł stronił od sposobności pouczenia szerokiego ogółu o tem, co wytwarza i NIE ZDAJE MI SIĘ, ABY PROPAGANDA WYTWÓRCZOŚCI KRAJOWEJ NIE NALEŻAŁA DO OBOWIĄZKÓW, KTÓRE SPEŁNIANE BYĆ MUSZĄ".**

Święte słowa wyrzekł tutaj p. premjer. Propaganda wytwórczości krajowej należy do najważniejszych obowiązków i obowiązek ten spełniany być musi. Chodzi tylko o to, w jaki sposób ma się to odbywać.

* * *

JAK DOTYCHCZAS hasło propagandy wytwórczości krajowej stanowi tylko płaszczyk dla przeróżnych imprez, nie posiadających najmniejszej wartości propagandowej. Przed niedawnym czasem grasowała u nas epidemja najprzeróżniejszych wystaw i pokazów. Mówiło się o propagandzie wytwórczości krajowej a spekulowało się na łatwy zarobek. Obok „kwiatka" wystawa lub pokaz stanowiły zawsze najpewniejsze i dlatego tradycyjne źródło „dochodów niestałych" najróżniejszych komitetów, organizacyj dobroczynnych itp. A wszystko w imię popierania wytwórczości krajowej i propagandy przemysłu, rolnictwa i handlu polskiego.

Wyciągnięto w ten sposób od przedsiębiorstw gospodarki prywatnej olbrzymie sumy bez najmniejszej korzyści dla wytwórczości krajowej.

Ostatnio znowu bez miary nadużywa się hasła propagandy wytwórczości krajowej na korzyść niezliczonych imprez wydawniczych. Niema miesiąca, żeby ktoś gdzieś nie organizował jakiegoś wydawnictwa, którego celem jest zawsze „propaganda wytwórczości krajowej".

Jednem słowem propagatorów i imprez propagandowych na rzecz wytwórczości krajowej jest tyle, że jeżeli ta plaga nie przejdzie rychło, to ta biedna wytwórczość skona z tego wszystkiego.

Niemniej jednak propaganda wytwórczości krajowej jest obowiązkiem, który musi być spełniony. Więcej jeszcze, spełnianie tego obowiązku jest obecnie jednem z najpilniejszych zadań, stojących przed kierownictwem naszej polityki gospodarczej. Tylko że przedtem trzeba sobie dobrze uświadomić na czem powinna polegać taka propaganda i kto ma ją robić.

* * *

WYDAJE SIĘ NAM, że w tej pilnej sprawie najwłaściwszem byłoby zastosować wypróbowane i dobre stare metody. A więc propagandą zająć powinny się czynniki rządowe w porozumieniu z naczelnemi organizacjami gospodarczemi. Rząd bowiem ma do dyspozycji mnóstwo środków, które pobudzić mogą przedsiębiorczość prywatną do największych wysiłków w kierunku uszlachetniania produkcji i zaspakajania nią coraz to więcej potrzeb społeczeństwa, organizacje zaś gospodarcze mogą oddać nieocenione przysługi przy dysponowaniu temi środkami i celowem ich używaniu.

P. Premjer wyraził zdziwienie, że na Targach Wschodnich nie było samochodu zbudowanego w Polsce ani motoru, skonstruowanego przez polskiego technika. Ale Targi Wschodnie nie mają żadnej wartości propagandowej. Tak jak jest obecnie, Targi stanowią tylko okazję do propagandy importu z zagranicy. Dla propagandy wytwórczości krajowej potrzebne są wystawy i ekspedycje na targi zagraniczne. Gdyby zamiast Targów, wydatnie subsydjowanych przez rząd, odbywały się w kilku punktach Polski co roku wystawy różnych gałęzi produkcji krajowej, wystawy organizowane pod protektoratem państwa i z nagrodami państwowemi dla wystawców, których eksponaty uznane zostałyby przez fachowe i autorytatywne komisje za godne wyróżnienia, gdyby następnie na zasadzie wyników takich wystaw rozdzielane były zamówienia rządowe lub udzielane pewne przywileje i ulgi, któremi dysponuje państwo, istniałby bodziec do twórczych wysiłków w produkcji o wiele silniejszy niż ochrona celna.

Zbliżająca się Powszechna Wystawa Krajowa z okazji dziesięciolecia naszej Niepodległości i perspektywa zdobycia tam nagrody lub chociażby tylko wyróżnienia zrobiła już obecnie w ciągu ostatniego roku o wiele więcej dla uszlachetnienia i podniesienia poziomu produkcji krajowej niż wszystkie t. zw. „propagandowe" imprezy i wszystkie Targi razem wzięte w ciągu pełnych dziesięciu lat.

Oto, naszem zdaniem droga, na którą należy jaknajrychlej wkroczyć. Narazie zaś, póki czas, należy pomyśleć o nagrodach rządowych na Powszechną Wystawę Krajową, o nagrodach zarówno dla produkcji jak i dla producentów.

* * *

ZATARG Z LITWĄ W LIDZE NARODÓW.

SPRAWA LITEWSKA znalazła się już na porządku dziennym Rady Ligi Narodów w czasie obecnej sesji w Genewie. Jak było do przewidzenia, nastąpiło dolsze odroczenie zasadniczego rozpatrywania tego zatargu. Rokowań polsko-litewskich nie uznano za zerwane i druga plenarna konferencja polsko - litewska odbędzie się znowu w Królewcu w pierwszych dniach listopada b. r.

Tym razem jednak okazało się bardzo wyraźnie, że pretensje litewskie na forum Ligi Narodów poważnie traktowane nie będą. Sposób, w jaki przyjęta została długa mowa p. Woldemarasa i jego niezliczone skargi i żale, był tak wymowny, że min. Zaleski nie uważał nawet za potrzebne wdawać się w dłuższą dyskusję i polemizować z wywodami premjera litewskiego.

Liga w czasie obecnej sesji jest zbyt silnie pod wrażeniem paryskiej ceremonji podpisania paktu Kelloga, potępiającego wojnę, by mogła dopatrywać się w zatargu polsko-litewskim niebezpieczeństwa konfliktu zbrojnego. W rzeczywistości też niebezpieczeństwa takiego niema narazie. Po podpisaniu paktu Kelloga nawet dotychczasowi sprzymierzeńcy i mniej lub więcej ukryci protektorzy polityki p. Woldemarasa, będą musieli na dłuższy czas wstrzymać się z jątrzeniem wrzodu litewskiego.

Jakie będą rezultaty najbliższej konferencji polsko - litewskiej, trudno już teraz przewidzieć, w każdym razie trzeba jednak stwierdzić, że horoskopy są obecnie znacznie pomyślniejsze niż były w grudniu ubiegłego roku po rezolucji genewskiej. Wówczas bowiem p. Woldemaras z miejsca zapowiedział, że sprawę wileńską wyzyska dla utrzymania beztraktatowego stanu z Polską także i po zniesieniu oficjalnego stanu wojny.

W tej sprawie w ciągu dziewięciu miesięcy p. Woldemaras wystrzelał wszystkie naboje i wygrał wszystkie atuty i przekonał się, że w obecnych warunkach w żaden sposób nie doprowadzi do rewizji uchwały konferencji ambasadorów przyznającej Wilno Polsce, bowiem ani jeden z jego argumentów nie został przez nikogo podjęty. Po podpisaniu paktu Kelloga przez Polskę upada także ostatni argument premjera litewskiego, mianowicie ten, że Polska przygotowuje okupację Litwy kowieńskiej, a równocześnie upada także i nadzieja, by w bliskiej przyszłości możliwe były w Europie takie zmiany, które pozwoliłyby Litwie pokusić się o odebranie Polsce Wileńszczyzny.

* * *

TRZECIA PRÓBA.

ROZPOCZYNAJĄCE SIĘ obecnie nowe rokowania pomiędzy Polską a Niemcami, celem zawarcia umowy handlowej, nazywa berlińska „Vossische Zeitung" trzecią próbą („Der dritte Anlauf"). Przy tej sposobności pismo to poddaje krytyce dotychczasowe punkty sporne, wysuwane przez obie strony i dochodzi do wniosku, że ani argumenty niemieckie ani polskie, utrudniające porozumienie, nie wytrzymują krytyki, że natomiast istotnym powodem, dla którego dotychczas wszystkie pertraktacje się rozbijały, jest brak zrozumienia u obu stron dla zagadnień kupiecko-gospodarczych i przesada w traktowaniu problemów politycznych.

O cóż bowiem chodzi rzekomo Niemcom?

Najwięcej argumentów przeciw traktatowi z Polską wysuwa **partja agrarjuszy niemieckich.** Argumentów tych nie można jednak brać **poważnie,** gdyż podyktowane są względami partyjnemi i mają charakter wybitnie demagogiczny i wiecowy. Niemcy sprowadzają z zagranicy znaczne ilości produktów rolniczych, sprowadzają znacznie więcej niż Polska może wywieść, przywóz z Polski nie utrudniłby przeto zbytu produkcji rolnictwa niemieckiego na własnym rynku, lecz conajwyżej zmniejszyłby import z innych państw. Argument ten pokrywa tylko **niechęć i wrogi nastrój nacjonalistycznych i hakatystycznych niemieckich sfer agrarnych wobec jakiejkolwiek umowy pomiędzy Niemcami a Polską.** O tem wiedzą w Niemczech, ale na ten temat nikt tam dyskusji prowadzić nie chce, obawiając się, by nacjonalistyczna demagogja nie okrzyczała go zdrajcą i srzymierzeńcem „wroga". Nawet tak trzeźwy organ, jak „Vossische Zeitung" nie wdaje się w rozstrząsanie motywów partji agrarnej, stwierdzając tylko po krótce, że argumenty te z punktu widzenia gospodarczego słabo tylko są uzasadnione.

Pozornie lepszy jest inny argument niemiecki, mianowicie, że Polska i tak skazana jest na to, aby z Niemiec sprowadzać wszystko, czego potrzebuje, bo tylko w Niemczech najkorzystniej uskutecznić może pewne swoje zakupy, że przeto niema potrzeby otwierania dla polskiej produkcji rolniczej rynków niemieckich, gdyż wzamian za to Polska nic więcej dać nie może niż to, co daje dotychczas bez traktatu.

W rzeczywistości i ten argument krytyki nie wytrzymuje. Jak słusznie podkreśla cytowane pismo, **siła nabywcza Polski wzrasta w bardzo szybkiem tempie.** Od roku 1924 do 1928 sama tylko **konsumpcja cukru podniosła się w Polsce o 70 procent na głowę ludności.** Masy polskiej ludności wiejskiej zdołały już naogół zaspokoić pierwsze, gwałtowne potrzeby swoich gospodarstw i dzisiaj już odzywają się wśród nich potrzeby nowe, nawet potrzeba pewnego zbytku. I są nawet środki na zaspokojenie tych nowych potrzeb. Jest to objaw, który otwiera przed przemysłem niemieckim na dłuższą metę bardzo ponętne perspektywy dobrych interesów w Polsce.

Co do Polski, to „Vossische Zeitung" sądzi, iż panuje tam przesadna obawa przed inwazją przemysłu niemieckiego, który po usunięciu dotychczasowych zapór zaleje swojemi wyrobami rynki polskie i zadusi zupełnie polską produkcję przem. Obawa ta, zdaniem pisma, jest również bezpodstawna, gdyż przemysł polski zdołał się w ostatnich latach na tyle skonsolidować i usprawnić, że **na własnym wewnętrznym rynku konkurencję niemiecką wytrzyma** i to nawet bez pomocy szańców celnych. Polska powinna mieć to na uwadze, że przy pomocy traktatu handlowego z Niemcami będzie mogła dzięki kredytom niemieckim zmodernizować swoje rolnictwo, zaopatrzyć je w maszyny i narzędzia nowoczesne, a wtedy sama z siebie upadnie także i t. zw. **„kwestja świńska"**, która także niepoślednią rolę odgrywa w rokowaniach. Niemcy muszą się bronić przeciw nadmiernemu kontyngentowi świń polskich **żywych lub świeżo bitych,** gdyż posiadają własną bardzo rozwiniętą hodowlę nierogacizny. Podaż świń zależna jest od urodzaju kartofli. Jeżeli w Polsce obrodzą kartofle, to obrodzą zwykle tak samo dobrze i w Niemczech. W takich latach na rynkach niemieckich jest dostateczna podaż świń krajowych

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

— pojawienie się większych ilości świń polskich lub polskiej wieprzowiny w takich latach, spowodowałoby spadek cen ze szkodą dla hodowców niemieckich. Do tego dopuścić nie można. Ale Polska, która **musi świnie eksportować**, może łatwo znaleźć inne wyjście: może u siebie w kraju **przerabiać wieprzowinę na konserwy**, których eksport, nawet do Niemiec, nie napotkałby na większe trudności.

Jednem słowem, konkluduje autor artykułu — należy sprawę traktatu z Polską traktować więcej po kupiecku, to porozumienie da się osiągnąć bez trudu. Dla polityka umowa polsko-niemiecka przedstawia **ryzyko**, niema bowiem żadnych danych, aby przewidzieć jej skutki i ocenić następstwa, gdyż między współczesną Polską a Niemcami nigdy jeszcze regularnych stosunków gospodarczych nie było. I polityk staje bezradny a nawet wystraszony wobec takiego **ryzyka**. Inaczej kupiec, dla którego ryzyko jest chlebem codziennym. Dlatego, jeśli podjęta obecnie trzecia próba ma doprowadzić do jakiegoś rezultatu, trzeba do rokowań wprowadzić przedewszystkiem **ducha kupieckiego**. Umowa stwarza bowiem dla obu stron wiele korzyści niezaprzeczalnych, a tam, gdzie jest nadzieja korzyści i dobrego interesu, tam kupiec łatwo pogodzi się **z ryzykiem**.

* * *

KATASTROFY.

W GRECJI panuje epidemja jakiejś tajemniczej choroby, która w wieku najwyższego rozkwitu nauk medycznych dziesiątkuje ludność gorzej jeszcze niż w wiekach średnich epidemje cholery, czarnej śmierci i pomoru. Medycyna stoi wobec tej zagadkowej choroby tak samo bezradna, jak bezradni byli medycy średniowieczni wobec ówczesnych epidemij. Miasta greckie, nawiedzone pomorem, wyglądają jak wymarłe. W niektórych miastach nie funkcjonują zakłady użyteczności publicznej, gdyż wszyscy pracownicy zachorowali, w innych znowu panuje brak żywności, ponieważ ludność wiejska omija je w obawie śmierci.

W Nowym Jorku wydarzyła się w tych dniach najstraszliwsza katastrofa, jaką tylko można sobie wyobrazić. Mianowicie w tunelu kolei podziemnej wykoleił się pociąg pasażerski w pełnym biegu. Kilka wagonów rzuconych zostało o kamienne ściany tunelu. Rezultat: kilkadziesiąt trupów zmasakrowanych i zniekształconych do niepoznania i dwa razy tyle rannych, przeważnie beznadziejnie.

W tunelu w nieprzeniknionych ciemnościach rozgrywały się sceny, których żadne pióro opisać nie zdoła. Ludzie, którzy cało wyszli z katastrofy, dostawali pomieszania zmysłów w tem okropnem piekle, zanim nadeszła pomoc i zanim rozbłysło światło.

Prawie równocześnie wydarzyła się we Włoszech największa katastrofa samochodowa od czasu wynalezienia samochodu. Na torze w Monzy odbywały się wyścigi. Jeden z samochodów, pędzący z szybkością 200 kilometrów na godzinę, w chwili, gdy znalazł się przed trybunami dla publiczności, wpadł na ogrodzenie dzielące tor od trybun i miejsca dla widzów. W szalonym pędzie, ciężki samochód złamał ogrodzenie i wpadł jak jakiś potworny, niszczycielski pocisk w tłum ludzki. Około trzydziestu osób przypłaciło na miejscu życiem chęć oglądania wyścigów samochodowych, a około siedemdziesięciu odniosło okaleczenia. Straszliwe te jatki wywołały w opinji publicznej odruch przeciw urządzaniu wyścigów samochodowych.

W tym samym tygodniu uległ katastrofie pociąg pośpieszny, jadący z Pragi przez Wiedeń do Budapesztu. Katastrofa wydarzyła się na stacji granicznej między Czechosłowacją a Austrją, w Lundenburgu, pociągając za sobą również około trzydziestu ofiar w zabitych.

Dyktatorzy i dyktatury

Głośny pisarz niemiecki, autor szeregu dzieł biograficznych, z których jedno, biografja Napoleona, ukazało się ostatnio w polskim przekładzie — Emil Ludwig — zamieszcza w czasopiśmie berlińskim, „Das Tagebuch“ dłuższy artykuł poświęcony zagadnieniu dyktatury i demokracji. Należy zaznaczyć, że Ludwig uważany jest w Niemczech za zwolennika radykalizmu i sympatyka lewicy niemieckiej. Tem więcej godne uwagi są jego wywody.

Dziesięć lat po ukończeniu ostatniej wojny widzimy przyczyny jej wybuchu i okoliczności, które do wybuchu doprowadziły tak wyraźnie, jak dawniej dopiero po upływie stulecia zbadać i dojrzeć było można. Szybkość informacji i jawność wszystkich ważniejszych rozpraw, a więc zasada zgodna zarówno z zasadami techniki jak i demokracji, przyczyniły się do tak szybkiego uświadomienia. Ponieważ rewolucje europejskie wywaliły drzwi wielu archiwów, otwarły się także usta mężów stanu i generałów. Zmiana ustroju państwowego w trzech monarchjach zerwała pieczęcie wszelkiej tajemnicy urzędowej, a ponieważ także i obecnie wielu pamiętnikarzy pragnie przedstawić się publiczności w najlepszem świetle, przeciwnicy tem bardziej usiłują przedstawić ich w najgorszem. W ten sposób pamiętnik ukazuje się po pamiętniku, jeden polemizuje z drugim zarówno w obozach dawnych nieprzyjaciół jak i w nieprzyjacielskich obozach tego samego kraju. Literatura ta w połączeniu z urzędowemi dokumentami przyczyniła się do rozświetlenia tajemnicy lipca 1914 roku.

Był to rodzaj publicznej rozprawy bez udziału sędziów. Wielka orkiestra bez dyrygenta. Ale kto miał dobry słuch wyczuł odrazu poszczególne motywy.

Istnieją cztery teorje o politycznych przyczynach wojny. Wojnę tę można uważać: 1) jako skutek walki gospodarczej w Europie, 2) jako rezultat walk o wpływy i zdobycze kolonjalne, 3) jako następstwo przestarzałych form ustrojowych i 4) jako skutek bezradności ówczesnych przywódców.

Jasnem jest, że działały wszystkie te przyczyny, ale błędem byłoby mniemać, że każda z nich, sama z siebie, musiałaby doprowadzić do wojny.

W historji nie można operować słowami „gdyby“ i „gdyby nie“. Wiemy dobrze, że wszystkie te choroby nawiedziły Europę. Nikt jednak, kto zna dokumenty i obecnie, niejako po śmierci przeprowadza sekcję, nie może twierdzić, że wówczas nie było ratunku. Ratunek był, **brakło tylko dzielnych i wytrawnych lekarzy.** Kryzys europejski z lipca 1914 roku nie był cięższy niż wiele poprzednich kryzysów, brakło tylko ludzi, którzy potrafiliby stanąć w obliczu tego kryzysu na wysokości zadania. I to jest najprawdziwszą przyczyną wybuchu tej wojny.

Jeżeli wierzymy w przeznaczenie w historji i w to, że wielcy ludzie są tylko dobremi narzędziami losowej konieczności, a ludzie mali złemi narzędziami, to trzeba przyjść do wniosku, że Europa jednak coś na wojnie tej zyskała, płacąc — ze względu na narzędzia — bardzo wysoką cenę za to. Faktem bowiem jest, że skutkiem wojny Europa pozbyła się czterech monarchij a zyskała jedenaście republik.

Tego nie można nazwać cofnięciem się wstecz, nawet wobec powstania szeregu dyktatur, albowiem najistotniejszym rezultatem wojny nie jest bynajmniej powszechna demokratyzacja Europy, ale **kres władzy dziedzicznej.** W monarchjach, które dotychczas posiadamy, dziedziczność stanowi nieszkodliwą, w danym razie nawet pożyteczną gwarancję pewnych formalnych ciągłości, a w dodatku otwiera przy sposobności utalentowanemu spadkobiercy możność wywarcia pożytecznego wpływu na losy państwa. Tam zaś, gdzie przed wojną istniało rzeczywiste niebezpieczeństwo władzy dziedzicznej, znajdujemy dzisiaj najwyżej **niebezpieczeństwo władzy zdobytej, które jest o wiele mniejsze,** gdyż taka władza **stale sama siebie kontroluje w sposób naturalny.**

Cesarzami Europy byli ludzie, którzy mieli prawo według własnego uznania rozstrzygać kwestję wojny lub pokoju, będąc przytem w zdolnościach swoich osłabionymi przez degenerację na skutek wielokrotnych związków krwi powinowatej i starej. Ci biedni trzej ludzie: ostrożny starzec, który w życiu swojem znał tylko niepowodzenia i zawsze tylko korzyści z nich wyciągał — słaby, bojaźliwy mistyk i utalentowany neurastenik, siedzieli w lipcu 1914 roku przy swoich biurkach i zapewne radzili się Boga, co mają uczynić w swej udręce i niepewności. Zapewne pełni byli przedtem szczerej chęci uczynienia tego, co należy, i zapewne potem przekonani byli, że tak właśnie, jak należało, uczynili.

To okrutne zadanie, ten nadludzki obowiązek zadecydowania o losach miljonów ludzi i o ich życiu spadł na tych ludzi bez ich winy, tak samo jak niezasłużenie spadła na nich władza, którą sprawowali.

Takie rzeczy znoszą i przyjmują za nieodpowiedzialność tylko wielkie charaktery, które natura tworzy w szczęśliwej godzinie a przeznaczenie stawia na właściwem miejscu. Jeżeli takich ludzi niema, muszą stać za zwykłymi śmiertelnikami olbrzymie, mistycyzmem owiane instytucje, wzniesione wysoko ponad ludy i niedostępne. Śmiertelnicy tacy muszą wtedy uchodzić za pomazańców bożych i wolno im pokazywać się ludowi tylko w uroczystym stroju, w złocistych koronach, z berłem i jabłkiem królewskiem — jako bożki lub półbogowie. Jeśli takie rzeczy dzisiaj są już niemożliwe, jeśli uważane są za humbug i maskaradę, to niewiadomo, czy przynosi to zaszczyt współczesnej epoce. Tak jednak jest i **nikt nie potrafi odnowić raz zniszczonych symboli.** Gdy dziecko zobaczyło, że kukuła, która kuka w zegarze, ma z tyłu kółko i że cała rzecz jest tylko mechanizmem do naciągania, przestanie raz na zawsze z pobożnym zachwytem spoglądać na ten cud i wierzyć, że w zegarze mieszka prawdziwy ptak. Tak samo, gdy po raz pierwszy naród pociągnął króla do odpowiedzialności i postawił go przed sądem, na zawsze zniszczona została wiara romantyczna w łaskę bożą. I nie jest to przypadkiem, że **Anglicy byli tym narodem, który uczynił to pierwszy.**

Dzisiaj **nie jest już możliwem, by znalazł się w Europie człowiek, który mógłby postanowić wypowiedzenie wojny lub podpisanie pokoju, nie dopuszczając kontroli społeczeństwa**, nie czyniąc tego w zgodzie z tą kontrolą. I to bez względu na ustrój danego państwa. W rzeczywistości bowiem cała Europa stała się jedną republiką.

Kilka dyktatur, istniejących w Europie, nie zmienia w niczem tego obrazu. Trzeba bowiem przyznać, że żaden z europejskich dyktatorów nie ośmieszył się aspiracjami monarchistycznemi. Stodwadzieścia lat temu powiedział Napoleon: „Aleksander Wielki mógł się jeszcze ogłosić synem boga, gdybym ja uczynił to dzisiaj, wyśmiałyby mnie nawet straganiarki w halach!“

Włochy i Hiszpanja, Polska i Węgry w mniejszym lub większym stopniu rządzone są przez jednego człowieka. W Rosji rządzi wprawdzie grupa ludzi, ale tak samo z wykluczeniem wszelkich metod i akcesorjów demokracji. Że dyktatury są aż tak liczne i **że zgodnie z życzeniami narodów będzie ich jeszcze więcej,** nie jest pozbawione logicznego uzasadnienia. Zobaczymy to najlepiej, rozważając, gdzie ich niema i gdzie wyobrazić ich sobie nie można. Nikt nie zdziwiłby się, gdyby pojawiła się próba dyktatury w Niemczech, ale prędzej chyba świat się skończy zanim możliwą będzie dyktatura w Anglji lub w Ameryce. Nie powinno się nigdy mówić: nigdy! — dlatego też mówimy tutaj narazie o współczesnem pokoleniu. Stare państwa, od długiego czasu nasycone demokracją, znoszą ją lepiej niż te, które otrzymały ją dopiero dziesięć lat temu i to w dodatku z wszystkiemi chorobami dziecięcemi. **Czy można się dziwić, gdy państwo, nękane przez stuletnią niewolę, jak np. Polska, zdobywając nagle wolność, nie może jej odrazu znieść?** Czy można wymagać, aby naród, trzymany sztucznie w cieniu, jak Węgrzy, umiał naraz żyć w pełnem świetle?

A pozostałe trzy stare kraje, w których dzisiaj rządzą dyktatorowie, stosują tylko nowe formy dla starych tradycyj. Włochy przez długie stulecia były przecież tylko piłką w rękach silnych i odważnych ludzi. Hiszpanja dopiero po wojnie poznała wolności polityczne, kiedyż miała nauczyć się konstytucji i wolności? A gdy w stumiljonowym narodzie rosyjskim pragnie się przeprowadzić nowy podział na klasy — czy można uczynić to z zachowaniem form demokratycznych? W rzeczywistości Lenin i Mussolini **byli jednymi, szczerymi mężami stanu,** gdyż odrzucając demokrację, starali się częściowo filozoficznie, częściowo ekonomicznie wyjaśnić światu, że **dawnemi metodami rządzić dzisiaj nie można.**

* * *

Dyktatura jest jednak zawsze tylko arją a nigdy całą operą. Dyktator — dlatego że zwykle, a przynajmniej bardzo często jest człowiekiem genjalnym — **niema nigdy potomka, ani fizycznego, ani duchowego,** podczas gdy królowie zawsze mają spadkobierców, ponieważ z reguły są bardziej ograniczeni. A jeżeli zdarzy się, że król nie jest ograniczony, to potomek lub spadkobierca tem mniej jest wart. I w tem właśnie, że żywot dyktatora jest ograniczony tkwi gwarancja, **że naród otrzyma tylko rzeczy dobre, które w nim tkwią i których dokonać jest zdolny,** podczas gdy ewentualne omyłki i przesady później same z siebie upadają, ponieważ niema nikogo, ktoby uważał sobie za obowiązek — otrzymawszy je w spadku — podtrzymywać je i upiększać. Przykłady mamy w dyktaturze Cezara, Napoleona a nawet Bismarcka.

Powszechnie mówi się, że dyktatury mogą być dla narodu pożyteczne, jeśli trwają krótko, ale zawsze są szkodliwe, gdy trwają długo. Sądzę, że **odnosi się to tylko do drobniejszych uzurpacyj.** W odniesieniu do postaci wielkich regułą jest stan wręcz przeciwny. Ludzie tacy dzięki gwałtowności, z jaką przeprowadzają swoją wolę, wstrząsają wprawdzie życiem swoich narodów nawet wtedy, gdy zdobywają dla nich sławę, ale **wzamian za to rzucają w ciągu swego życia tyle genjalnych myśli, wprowadzają w czyn tyle genjalnych koncepcyj,** które stają się własnością narodu i wchodzą do skarbca jego dorobku kulturalnego i cywilizacyjnego. A ponadto pozostaje po nich **przykład, który rozpala umysły młodzieży.** Gdyby nie było Plutarcha, który zebrał wielkie przykłady starożytności, nie byłoby Napoleona.

Goethe, już jako starzec napisał wiersz:

Übermacht, Ihr könnt es spüren,
ist nich aus der Welt zu bannen,
Mir gefällts zu konversieren
mit den Mächtigsten, mit Tyrannen".

* * *

W końcu swoich wywodów Ludwig mówi o socjalnej demokracji. Nazywa ją najlepszą gwarantką pokoju w Europie i twierdzi, że dookoło niej skupia się wszystko, co dąży do pokoju a przeciw niej zwraca się wszystko, co pragnie wojny.

Wskazując na działalność niemieckiej socjalnej demokracji, Ludwig twierdzi, że od dziesięciu lat przestała ona być partją destrukcyjną a stała się partją konstrukcyjną. Stała się taką dzięki temu, że doszła do udziału w rządzie.

Ludwig wyraża także przekonanie, że **socjalna demokracja dojdzie również do porozumienia i do harmonijnego współżycia i konstruktywnej współpracy z dyktatorami,** gdyż najstarsi jej przywódcy patrzą dalej i widzą daleko więcej niż wszyscy inni politycy. W tem miejscu powołuje się na **Bernarda Shaw'a,** jednego z najstarszych socjalistów europejskich, który zrozumiał rolę Mussoliniego dla Włoch i dał temu zrozumieniu wyraz, występując gorąco w obronie dyktatora włoskiego przeciw oskarżeniom opozycji. Z wystąpienia Shaw'a Ludwig wnioskuje, że **zarysowuje się już wyraźnie pomost pomiędzy socjalistycznemi pojęciami o demokracji a demokracją dyktatorów.**

Zdaje nam się, że Ludwig się nie myli i że jego przewidywania się spełnią. **Dawnemi metodami rządzić dzisiaj nie można.** Jako tako można przy ich pomocy rządzić jeszcze przez pewien czas, tak długo może, jak długo żyć będzie współczesne pokolenie, w krajach, w których rządzono się demokratycznie od dziesiątek lat a nawet od stuleci — ale **w państwach nowych i w państwach, które stały się demokracjami dopiero po wojnie światowej, tworzyć trzeba nowe metody rządzenia.**

Zaczynają rozumieć to nawet socjaliści... także i u nas. Wprawdzie u nas za to zrozumienie wypisuje się ich ciągle jeszcze z szeregów partji i nazywa renegatami, ale taki już jest los wszystkich pionierów nowych idei. Na zachodzie są już ostrożniejsi i Shaw'a np. z partji nie wypisano...

K. Tyr.

ZAGRANICA

Przegląd spraw zagranicznych

OBRADY LIGI NARODÓW.

Obrady Zgromadzenia Ligi Narodów są w pełnym toku. Dotychczas jednak na porządku dziennym są same tylko kwestje natury ogólnej, wynikające z rocznego **sprawozdania generalnego sekretarjatu Ligi i Rady Ligi.** Sprawozdania te stanowią bilans całorocznej działalności Ligi i są zawsze przedmiotem dłuższej dyskusji. Podobnie jak przedmiotem dyskusji w parlamentach bywają deklaracje rządowe.

W dyskusji nad sprawozdaniem sekretarjatu Ligi wiele miejsca i czasu poświęcono paktowi Kelloga, podpisanemu w przeddzień sesji Zgromadzenia Ligi. Wszyscy mówcy starali się dowieść, że pakt ten w niczem nie osłabia znaczenia Ligi, lecz stanowi objaw harmonijnej i bardzo pożądanej współpracy rządów, a zwłaszcza rządu amerykańskiego, z dążeniami Ligi. W rzeczywistości jest nieco inaczej, a przynajmniej mogłoby być inaczej, gdyby nie wielka mądrość polityczna kierowników Ligi Narodów, którzy nie usiłowali nawet wystąpić z jakiemikolwiek zastrzeżeniami wobec paktu Kelloga, lecz z miejsca potraktowali go tak, jakby myśl tego paktu zrodziła się w gmachu Ligi, a nie w gabinecie waszyngtońskiego urzędu spraw zagranicznych. Rezultatem tej mądrej taktyki jest to, że nie ucierpiał ani autorytet Ligi, ani pakt Kelloga. Okazuje się, że od Ligi Narodów można się wiele nauczyć także i dla użytku domowego...

* * *

Sensację wzbudziło **przemówienie Brianda,** wygłoszone w czasie dyskusji nad sprawozdaniem sekretarjatu u Rady Ligi. Już kilka dni minęło od wygłoszenia tego przemówienia, a ciągle jeszcze pełno o niem w prasie światowej, zwłaszcza zaś w prasie niemieckiej. Nawiązując bowiem do wysiłków pokojowych Ligi Narodów i do paktu Kelloga, jako dzieła, mającego przyczynić się do urzeczywistnienia ideału powszechnego i wiecznego pokoju, Briand otwarcie wskazał i nazwał po imieniu wszystko, co wrogie jest idei pokoju. Był to ze strony Brianda wspaniały i podziwu godny akt odwagi cywilnej— jako doświadczony polityk — zdawał sobie bowiem sprawę z tego, jakie skutki wywoła to jego przemówienie i jakie trudności przyniesie mu w jego polityce francuskiej. Briand przemawiał w charakterze członka Ligi Narodów, a nie w charakterze ministra spraw zagranicznych republiki francuskiej. I dlatego przemawiał tak swobodnie i tak szczerze.

W przemówieniu swojem oświadczył wyraźnie, że czynnikami niesprzyjającymi idei pokoju powszechnego są: 1) **Niemcy,** którzy wprawdzie mają liczebnie słabą armję, ale zato pielęgnują u siebie ducha wojny, co w połączeniu z nieprzebranemi zasobami tego narodu w ludziach, zdolnych do broni i w materjałach oraz możliwościach gospodarczych i przemysłowych, stanowi stały element niepewności w stosunkach międzynarodowych. 2) **Rosja sowiecka,** która świadomie dąży do wojny w myśl wskazań swoich planów rewolucyjnych. Jej pokojowe frazesy i demonstracyjne wnioski rozbrojeniowe są zdaniem Brianda obłudne. 3) **Różnego rodzaju polityczne partyjne międzynarodówki,** które podlegają niekontrolowanym wpływom i używane są przez różne mocarstwa jako narzędzie egoistycznej polityki. W tem miescu podobno Briand zwrócił się twarzą wprost do kanclerza niemieckiego, socjalisty Müllera i uczynił przejrzystą aluzję do ostatniego kongresu międzynarodówki socjalistycznej, którego uchwały **podyktowane były przez Berlin** i miały na celu wywarcie presji na inne państwa w interesie polityki niemieckiej, zwróconej przeciw traktatom pokojowym. 4) **Mniejszości narodowe,** które w wielu państwach wygrywane są również przez niekontrolowane czynniki — **przez agentury obce** — dla podkopywania bezpieczeństwa tych państw. I tu również Briand dał do zrozumienia, że między innemi ma na myśli metody polityki niemieckiej.

Stąd to niebywałe oburzenie w Niemczech. Jakby kij wsadzono w mrowisko. Prasa niemiecka podaje wiadomości, według których liczne grupy polityczne niemieckie domagają się wprost interwencji dyplomatycznej w Paryżu z powodu tej mowy Brianda — omal że nie wystosowania ultimatum i zagrożenia wojną. Jutro Rosja zacznie Niemcom sekundować.

Mowa Brianda będzie miała niewątpliwie bardzo doniosłe konsekwencje i ma także niewątpliwie swoje kulisy. Faktem jednak jest, że Briand ze zdumiewającą odwagą i śmiałością wskazał na gniazda roboty, zagrażającej pokojowi w Europie. I dobrze trafił — widać to po skutkach, jakie ta mowa wywołała.

Bogusław Zabłocki.

Unja Międzyparlamentarna

Wrażenia z konferencji w Berlinie

Z pewną dozą ironji pytają sceptycy: Co uradziliście na konferencji Unji Międzyparlamentarnej? Wszak to parlament parlamentów, a więc instancja wyższa, niż Mussolini, Piłsudski, Primo de Rivera i wszyscy inni więksi lub mniejsi dyktatorowie!

Że ludzie, należący nawet do sfer wyższej inteligencji i orjentujący się w sprawach politycznych, zadają podobne pytania, należy może w pewnej mierze przypisać prasie, która wiedząc, że społeczeństwo obecnie więcej, niż przed wojną, czułe jest na wszelkie poruszenia na arenie międzynarodowej, pilnie rejestruje na wszystkich międzynarodowych konferencjach przemówienia uczestników tak, jak gdyby były wygłaszane z mównicy własnego parlamentu, nadając tem samem konferencji takiej charakter ciała ustawodawczego. Z naciskiem należy tedy zaznaczyć, że tego rodzaju konferencje i kongresy mają li tylko na celu swobodną wymianę myśli między przedstawicielami parlamentów lub organizacyj politycznych, wzgl. gospodarczych. Powzięte uchwały, a właściwie tylko rezolucje, **nie mogą wiązać reprezentowanych na konferencji państw** lub organizacyj, lecz stanowią raczej **zalecenia** dla uczestników, by w swoich parlamentach wzgl. organizacjach narodowych propagowali pewne idee i zasady, co do których nastąpiło uzgodnienie na konferencji.

Natomiast dla międzynarodowych stosunków o wiele donioślejszem, niż dyskusja i rezolucje jest fakt **osobistego zetknięcia się** przedstawicieli różnych państw i narodów, a zwłaszcza polityków i ekonomistów. Nie ulega wątpliwości, że osobista wzajemna znajomość mężów stanu byłaby w przeszłości usunęła wiele nieporozumień między państwami i niejednokrotnie zapobiegła wybuchowi wojen. Jest bowiem psychologicznie zrozumiałem, że minister zupełnie inaczej ocenia treść noty dyplomatycznej lub innego oficjalnego pisma rządu zagranicznego, jeżeli miał sposobność w osobistych rozmowach bliżej poznać ich inicjatora i autora. Z tego więc punktu widzenia należy przedewszystkiem oceniać wartość międzynarodowych konferencyj.

* * *

Naogół charakteryzowała tegoroczną konferencję Unji Międzyparlamentarnej w Berlinie **pokojowość.** Bo nawet nieco ostrzejsze i demonstracyjne wystąpienia deputowanych włoskich „na wygnaniu“, egipskich eksdeputowanych, Ukraińców i Rumunów nie wywołały pożądanego przez inicjatorów efektu. Zgromadzenie przyjęło protesty i zastrzeżenia do wiadomości i reagowało na nie z godnością i spokojem, chcąc niejako **dać przykład parlamentom,** jaki ton powinien panować w izbach ustawodawczych.

I tak już na wstępie wygłoszona przez **kanclerza Müllera** mowa powitalna tchnęła pokojowością: „Ze szczególną przyjemnością“ — mówił on — „wspominam jednego członka Unji Międzyparlamentarnej, zmarłego p. Wardale, który swego czasu w Sztokholmie skwapliwie się starał, by delegowani zapomnieli, że po części aż do roku 1918 stali w nieprzyjacielskich obozach. Spodziewam się, że czasy te wkrótce będą zupełnie należały do przeszłości. Przepaści, które otwarły się między poszczególnemi narodami, zaczynają się coraz bardziej zamykać“...

Również i wybrany przez konferencję przewodniczący obrad, profesor prawa międzynarodowego, **Walter Schücking,** uderza w ten sam ton: „...Musimy także zwalczać niejako socjologiczne przyczyny wojen, dopomagając naturalnemu prawu wszystkich narodów pod każdym względem na całej linji do pokojowego przeboju i znajdując drogi i środki dla urzeczywistnienia ideału sprawiedliwości“.

W dyskusji nad rozbrojeniem przewodniczący delegacji polskiej, **prof. Dembiński,** wygłosił wykwintne pod względem formy przemówienie w języku francuskim, przyjęte przez zebranych gorącemi oklaskami.

„Niema — powiedział między in. — **żadnej różnicy w kwestji bezpieczeństwa na zachodzie, jak i na wschodzie.** Polska stara się spełnić swą rolę pośrednika, przyłączając się z radością do wszystkich międzynarodowych układów. Z polskiej strony już na ostatniem zgromadzeniu Ligi Narodów **zaproponował min. Zaleski wspólny pakt przeciw wojnie.** Pakt Kelloga nie jest zwrócony przeciw Lidze Narodów, ale stanowi tylko potwierdzenie jej usiłowań. Dlatego należy się wyraz podziękowania nietylko Kellogowi, ale i Briandowi, Stresemannowi i Zaleskiemu. Powitać należy, że pakt Kelloga dopuszcza legalną obronę. Jestto najlepsza rękojmia pokoju...“

* * *

Charakterystyczne były uwagi b. ministra holenderskiego Heemskerka, stanowczo jednego z najlepszych mówców, który w kwestji rozbrojenia ocenia sytuację pesymistycznie. **„Udziału Rosji Sowieckiej w konferencji rozbrojeniowej nie należy oceniać jako dowodu rzetelnej woli rozbrojenia ze strony rządu rosyjskiego.** Konkretnych wyników chyba nie osiągnie się zapomocą propagandy radykalnego rozbrojenia; byłoby bardziej celowem działać przedewszystkiem przeciwko powiększeniu zbrojeń. Osiągnęłoby się już wiele, gdyby państwa **nie prowadziły więcej wojny przeciw ludności, tylko przeciw wojskom i flotom...“**

* * *

W dyskusji nad kryzysem parlamentaryzmu brał udział również polski delegat b. min. **Thugutt,** przedstawiając w referacie swym pewne propozycje, które wzbudziły zainteresowanie zebrania i przekazane zostały Generalnemu Sekretarjatowi do przygotowania na następną konferencję.

* * *

Przemówienia wygłaszane były według woli mówcy w języku francuskim, angielskim lub niemieckim. Z języka francuskiego korzystali prócz Francuzów, Belgów, Szwajcarów, Węgrów, Rumunów, Holendrów i Duńczyków, przedstawiciele narodów słowiańskich; z niemieckiego — Niemcy, Austrjacy, niektórzy przedstawiciele państw północnych i bałtyckich oraz jeden Amerykanin; reszta mówiła po angielsku Każde przemówienie było natychmiast tłumaczone na dwa pozostałe języki. I tu trzeba podnieść, że niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych oddało do dyspozycji dwuch swych najtęższych tłumaczy, **Dra Schmidta i Michaelisa,** z których każdy **jest fenomenem w swoim rodzaju.** Nietylko z powodu doskonałego władania wszystkiemi trzema językami, ale także dla zdumiewającej pamięci i wprost błyskawicznego ujmowania najistotniejszych myśli mówcy i częstokroć dosłownego cytowania niektórych ustępów przemówień, a czasem nawet reprodukowania tonu i gestu oryginału. Warto wspomnieć, że dr. Schmidt dopiero przed kilku laty ukończył wydział filologiczny i natychmiast przyjęty został do departamentu tłumaczy ministerstwa spraw zagranicznych. Było to w czasie, kiedy w Londynie odbywała się konferencja nad planem Dawesa. W toku dyskusji wytworzyła się w danej chwili taka sytuacja, że Lloyd George po przemówieniu kanclerza niemieckiego, uderzywszy pięścią w stół, **chciał konferencję przerwać.** Po chwili okazało się, że powodem tego było nieporozumienie, powstałe wskutek błędnego oddania przemówienia kanclerza na język angielski przez tłumacza niemieckiego. Tłumacz ten został natychmiast odwołany, a na miejsce jego niemiecki dyrektor departamentu tłumaczy wysłał do Londynu **Dr. Schmidta,** mimo przestróg ze strony dyplomatów, którzy obawiali się, że młodość Dr. Schmidta i niedoświadczenie jego w sprawach polityki zagranicznej mogą w sprawie tak ważnej, jak plan Dawesa, narazić Niemcy na szkodę. Dyrektor departamentu jednak, znając zdolności Schmidta, nie dał się powstrzymać od wysłania go i miał rację, gdyż Dr. Schmidt tak znakomicie wywiązał się ze swego zadania, że wzbudził szczery podziw u wszystkich uczestników konferencji.

* * *

Ciekawem jest, jak przedstawiciele różnych państw reagowali na ostrzejsze wystąpienia i ataki ze strony przedstawicieli narodów, które uważają się za pokrzywdzone.

I tak, gdy Egipcjanie, których parlament został dekretem króla nagle rozwiązany i konstytucja zawieszona, zgłaszali swe pretensje do polityki rządu brytyjskiego, reprezentant parlamentu irlandzkiego z patosem wołał: „**Słusznie zarzucą nam, że cała nasza** organizacja (Unja Międzyparlamentarna) jest „humbugiem“, jeżeli okażemy wstrzemięźliwość wobec krzywdzącego traktowania parlamentu egipskiego'. Natomiast parlamentarzysta angielski z właściwą synom Albionu metodą, spokojnie i grzecznie stwierdził, że Wielka Brytanja nie ma bynajmniej zamiaru krzywdzenia narodu egipskiego i że chwilowo toczą się pertraktacje delikatnej natury między władzami angielskiemi i egipskiemi, tak, że wobec tych warunków delegacja brytyjska nie ma możności dyskutowania tutaj nad deklaracją przedstawicieli egipskich.

A kiedy mócy węgierscy zwrócili uwagę na to, że problem mniejszości narodowych w Rumunji nie jest uregulowany, rumuński prof. Djuvara, mówca wysokiej klasy, podniesionym głosem i gestem wielkopańskim powiedział, że Węgrzy nie mają prawa uskarżania się, gdyż właśnie Węgry przez wieki pozostawiały bardzo znaczną mniejszość rumuńską, zamieszkującą terytorjum węgierskie, bez najelementarniejszych praw. Zdaje się, że trudności i różnice, panujące między Węgrami a Rumunami, które wynikają z kwestji optantów, są sprowokowane przez wpływ 200 wielkich właścicieli ziemskich, którzy mają interes w unicestwieniu wielkiej reformy agrarnej, która dokonana została w Rumunji. Imieniem Rumunji i parlamentu rumuńskiego mówca ofiaruje sąsiadom swoim **Locarno bałkańskie.**

Ukraińcy nasi ograniczyli się, jak na wstępie wspomniałem, do przedłożenia protestu wzgl. memorjału p. t. „Ukraina Zachodnia i walka o niepodległość, którą 8 miljonów Ukraińców, zamieszkujących to terytorjum prowadzi przeciw obcemu panowaniu Polski, Rumunji i Czechosłowacji“. Pozatem w dyskusji udziału nie brali, natomiast widziano ich prowadzących ciągłe konszachty zakulisowe z przedstawicielami innych państw.

* * *

Niemcy, wzgl. grupa niemiecka, jako gospodarze, robili wszelkie wysiłki, ażeby gościom zagranicznym uprzyjemnić pobyt w Berlinie. W przeddzień otwarcia konferencji grupa niemiecka wydała w Reichstagu raut, na którym niezmordowanie pełnił funkcję gospodarza prezydent Löbe, który w przemówieniu swojem specjalnie podniósł obecność sąsiadów z lewej i prawej strony (Francuzów i Polaków). Przyjęcie uczestników przez rząd Rzeszy w sali marmurowej w ogrodzie zoologicznym wzbudzało organizacją swą podziw. **Około 1200 osób zasiadło przy gustownie udekorowanych małych stolikach.** Na dany znak **falanga kelnerów marszem paradnym wkroczyła z pierwszem daniem na salę,** a równocześnie muzyka na galerji rozpoczęła koncert. **W przeciągu 2—3 minut wszyscy biesiadnicy byli obsłużeni.** To samo powtarzało się przy każdem dalszem daniu i ta sama przycyzyjność przy zmianie naczyń. Francuzi ze zdumieniem patrzeli na tę sztuczkę organizacji i „drillu“ i wołali „c'est epatant!“. Magistrat i rada miejska wydały obiad w ratuszu, gdzie do kolacji przygrywała muzyka nadawana przez głośniki radjowe. Kanclerz Rzeszy z małżonką przyjmowali herbatą w salonach i w ogrodzie pałacu przy Wilhelmstrasse, który należał, jak wiadomo, niegdyś do rodziny książąt Radziwiłłów. Rząd pruski zaprosił na przedstawienie galowe do nowoprzebudowanej opery, gdzie dawano operę Mozarta, „Fidelio“, a grupa niemiecka zakończyła konferencję bankietem w salach Krolla.

Wkońcu nadmienić należy, że delegacja polska miała dwa razy sposobność być u siebie w domu. Świeżo z Rzymu przybyły, sympatyczny poseł polski, p. Knoll, zaprosił najpierw delegację polską do siebie na herbatę, a drugie przyjęcie wieczorne wydał w poselstwie dla delegacyj polskiej i niemieckiej, celem bliższego zaznajomienia się i wymiany myśli ze względu na zbliżające się rokowania o traktat handlowy. Wśród delegacji polskiej znajdowali się nasi posłowie i senatorowie z Koła Niemieckiego oraz posłowie z Gdańska, co na Niemcach wywarło bardzo miłe wrażenie, natomiast nie przybyli koledzy Ukraińcy.

Wielkie uznanie należy się sekretarzowi grupy polskiej, p. Czosnowskiemu, który precyzyjnie przygotował podróż delegatów i na miejscu niezmordowanie przyjmował i wykonywał niezliczone życzenia stosunkowo licznej delegacji polskiej.

Dr. M. Solański.

Smutno jest na tym świecie, panowie...

W Cambridge odbył się w ubiegłym miesiącu wszechświatowy kongres geografów. Przybyło 500 delegatów z 47 krajów. Czytając stenogram inauguracyjnego przemówienia przewodniczącego kongresu, gen. Mikołaja Wakkeli, trudno się oprzeć wrażeniu, że oto znowu jest mniej tajemnic na świecie — mniej pytań, na które świat szukał odpowiedzi.

Do niedawna na każdym kongresie geografów odczytywano przynajmniej jeden sensacyjny referat, który dawał rozwiązanie jakiejś odwiecznej zagadki, wyjaśniał jakąś nie zbadaną w ciągu wieków tajemnicę. Zacytujemy kilka przykładów:

Na jednym z kongresów geograficznych wyświetlona została tajemnica, która przez dwa i pół tysiąca lat niepokoiła ludzkość, mianowicie **tajemnica źródeł Nilu i przyczyn perjodycznych wylewów tej wielkiej rzeki,** którym Egipt zawdzięcza swoją cywilizacyjną przeszłość.

Kwestję tę postawił na porządku dziennym **Herodot** w piątym wieku przed narodzeniem Chrystusa a dopiero wyprawa **Speaka i Granta** w roku 1863 przyniosła odpowiedź na to pytanie. Herodot pisał: „Co się tyczy niektórych zjawisk, obserwowanych nad Nilem, to ani kapłani, ani inni ludzie nie potrafili mi udzielić zadawalniających wyjaśnień. Niemniej jednak starałem się dowiedzieć, dlaczego w Nilu, począwszy od lata, wody zaczyna przybywać i dlaczego po okresie stu dni woda zaczyna z powrotem odpływać. Egipcjanie nie potrafili mi wyjaśnić tego zjawiska".

Podróżnik grecki analizuje trzy hipotezy i wykazuje ich błędność. Wylewy Nilu spowodowane mogły być: 1) wiatrami morskiemi, które nie pozwalają rzece przelać swoich wód do morza, 2) przez tajemniczą „rzekę—ocean", która otacza cały glob ziemski i z której rzekomo wypływa Nil, 3) tajaniem śniegów. Oto trzy hipotezy, które stworzył sobie świat starożytny dla wytłumaczenia zjawiska przypływu i wylewów Nilu. Aby tajemnicę wyświetlić **Neron wysłał ekspedycję** w górę rzeki. Ekspedycja ta zbadała rzekę aż do tego miejsca, w którem gubi się ona w wielkich tropikalnych błotach i moczarach, i powróciła z niczem. Następnie aż do drugiej połowy XIX wieku cały szereg ekspedycyj usiłował dotrzeć do źródeł rzeki, jednak żadnej się to nie udało i każda kończyła swoje poszukiwania tam, gdzie skończyła je ekspedycja cezara rzymskiego.

Aż w roku 1858 lejtnant brytyjski **Speak** dotarł do brzegów legendarnego do tego czasu jeziora Ukersy, które później nazwano **Wiktorja-Nianca.** Na najbliższym kongresie geografów Speak stormułował rezultaty swej podróży w sposób następujący: „Przekonałem się ponad wszelką wątpliwość, iż stary Nil wypływa z jeziora Wiktorja-Nianca. **Jezioro to jest źródłem świętej rzeki, która ongiś niosła na swych falach kolebkę twórcy religji żydowskiej.** Jezioro to „żywi" rzekę i dzięki niemu Nil toczy majestatycznie swe fale na przestrzeni 2.300 mil". Speak podał, że jezioro Wictorja-Nianca mierzy 29 tysięcy mil kwadratowych powierzchni. Później okazało się, że mierzy ono 68 tysięcy mil kwadratowych.

Oświadczenie Speaka przyjęto z niedowierzaniem. Nie chciano uwierzyć, by ten młody oficer podniósł odważnie zasłonę z tajemnicy stuleci. Znakomity badacz Afryki, **Robert Burton,** nazwał wywody Speaka „głupstwami" i wezwał podróżnika na publiczną dysputę, która miała się odbyć na tym samym kongresie geograficznym. Nie odbyła się jednak, gdyż w przeddzień dysputy, Speak, przechodząc z nabitym karabinem przez płot, **uległ nieszczęśliwemu wypadkowi.** Kula utkwiła w brzuchu i Speak zmarł. Burton ogłosił wówczas, że Speak popełnił samobójstwo, ponieważ wiedział, że jego „głupie twierdzenia" zostaną obalone. Ale już niedaleka przyszłość wykazała, że **Speak miał rację, a Burton się mylił.**

Na jednym z następnych kongresów sformułowano już w sposób znacznie dokładniejszy przyczyny wylewów Nilu. Okazało się, że przyczyna ta jest jednakowa zarówno dla Nilu jak i dla Amazonki oraz dla Amuru na Syberji. Przyczyną tą są t. zw. **„Mussony"** — perjodyczne wiatry, sprowadzające obfite deszcze do basenów wielkich jezior afrykańskich. Deszcze te zapełniają po brzegi Wiktorję-Nianca, dzięki czemu następuje wylew Nilu.

Tajemnicę rzeki Kongo wyświetlali na kongresach geografów **Livingstone, Stanley i Burton.** Rzeka ta jest tak długa i tyle razy zmienia swój kierunek, iż przez dłuższy czas brano ją za kilka rzek. Stanley zbadał cały bieg Konga, począwszy od źródeł, a skończywszy na zatoce gwinejskiej oceanu Atlantyckiego, do której Kongo wpada. **Ekspedycja ta trwała od roku 1872 do 1877.** Stanley maszerował z oddziałem murzynów, który na początku drogi w Zanzibarze liczył **356 ludzi,** a z którego do zatoki gwinejskiej dotarło **tylko 115 ludzi.**

Na jednym z kongresów w końcu 19-go wieku **Nansen zdawał sprawę ze swej sensacyjnej podróży przez Grenlandję,** którą odbył na łyżwach. Trzynaście lat później ten sam śmiały podróżnik norweski opowiadał o swej **podróży na statku „Fram"** i o czteromiesięcznej wędrówce po polach lodowych do brzegów ziemi Franciszka Józefa, gdzie zimowali z Johansenem wśród wręcz fantastycznych okoliczności.

Na kongresie geograficznym wyświetlona została również **zagadka biegunów ziemskich.** Niedostępność biegunów przez długie lata rozpalała wyobraźnię ludzką. Kapitan „Nemo", który w „Nautilusie" dociera do bieguna południowego, znajduje tam otwarte morze — lecz **Amundsen i Scott obalili literacką koncepcję Vernego** i stwierdzili, że biegun południowy znajduje się na **olbrzymim, zamarłym kontynencie.** Przepastne i ponure pustynie lodowe tego kontynentu rozświetlają dwa potężne wulkany: **„Terror" i „Erebus".**

Tybet był przez długie wieki dla europejczyka krainą tajemnic i cudów, o której opowiadano sobie niesamowite historje. Okkultyści, teozofowie i telepaci wszystkich krajów utrzymywali, że znajdują się tam **olbrzymie, ukryte pod ziemią księgozbiory,** sięgające epoki przedhistorycznej **Atlantydy** i że mieszczą się w tych księgach objawienia, pisane w djalektach, znanych tylko niewielu wtajemniczonym. Tybet miał posiadać tysiące mnichów, stanowiących kolegjum wielkich wtajemniczonych, na czele którego miał stać wtajemniczony z wtajemniczonych, inkarnacja bóstwa na ziemi — **Dalaj Lama.** Żaden europejczyk — mówiono — nigdy nie wtargnął na jego poświęconą ziemię.

Pierwsze próby przeniknięcia tajemnicy Tybetu datują z roku 1661. W tym i w latach 1715 i 1719 **dwaj czy trzej jezuici i kilku kapucynów** dotarło do wnętrza Tybetu. W roku 1740 pewien holenderski podróżnik przebywał w Lhassie, później zwiedził ją pewien Anglik. W roku 1846 dwaj misjonarze potrafili także dotrzeć do serca Tybetu. Od tego czasu przez dłuższy czas mimo wielu śmiałych prób nie udało się nikomu dotrzeć do tajemniczej stolicy Tybetu, do Lhassy, miasta Dalaj-Lamy. Najciekawszą z tych prób była **podróż Swen-Hedina.** Dopiero w roku 1904 **Anglicy organizują na większą skalę ekspedycję w głąb Tybetu.** Maeterlinck w swojem pięknem dziele **„Le grand Secret"** (Wielka Tajemnica) pisze o tej ekspedycji: „Na wieść o świętokradzkiem przedsięwzięciu angielskiem okkultyści całego świata z dreszczem strachu oczekiwali **okropnych zjawisk.** Jeden z nich, najuczeńszy i najpoważniejszy, rzekł *poufnie na początku* roku 1904-go: „Anglicy nie wiedzą, na co się porwali — atakują i prowokują **najpotężniejsze moce w ich siedzibie.** Jest rzeczą pewną, że ostatni adepci transhimalajskiej nauki władają okrutną potęgą eteryczną lub gwiezdną — Mosh-moketem Atlantydy, któremu nic się nie oprze — **siłą wibracyjną z Astra-Vidje,** mogącą w proch obrócić 100 tysięcy ludzi i słoni niby drobną myszkę. Anglicy nigdy nie dotrą do bram nietykalnej Polety".

A przecież **nic się nie stało.** Po długich pertraktacjach wojska **pułkownika Jounghousbanda,** złożone z plemion górskich indyjdyjskich i europejczyków, ruszyły na wyżyny Himalajów, zmuszając żołnierzy Dalaj-Lamy do cofnięcia się. Dezerterzy wojsk Dalaj-Lamy mieli miny mistyczne i straszyli Anglików: „Jeżeli jeszcze postąpicie naprzód, czeka was koniec okrutny. Dalaj-Lama piorunami obróci was w pył". Anglicy szli jednak naprzód mimo gróźb, napotykając wszędzie tylko sfanatyzowanych obrońców, uzbrojonych jednak **w strzelby odwiecznego systemu.** Deptali więc spokojnie wielkiemi butami świętą ziemię i **dotarli wreszcie do Lhassy.** Opaci wielkich klasztorów przez pięć dni w uroczystym szale przeklinali najeźdźców, śpiewając swoje najpotężniejsze hymny. Nadaremnie. Dnia 4 sierpnia pułkownik Jounghousband **wszedł triumfalnie do stolicy Tybetu,** zajął najświętszy przybytek, „rezydencję Boga" — olbrzymią i fantastyczną budowlę, panującą nad domami miasta swemi wieżycami i mającą kształt fortecy. A Dalaj-Lama — trzynasta inkarnacja boskości, papież buddyzmu, **duchowny ojciec 600 miljonów dusz** — poprostu **zbiegł.** Zbadano klasztory i największe świątynie, w których mieszkało przeszło 30 tysięcy mnichów i nie odkryto tam nic prócz „resztek ongi najwznioślejszej religji, jaką zna ludzkość — dziś zeszłej na dziecinne przesądy, mechanizm młynków do modlitwy i najopłakańsze czarownictwo".

O tem wszystkiem pułkownik Jounghousband mówił na jednym z kongresów.

Ciekawszem było życie na globie ziemskim, gdy istniało tyle jeszcze nieznanych, tajemniczych krain, uskrzydlających fantazję ludzką. Obecnie — jak wynika z przemówienia generała Wekkeli, geografja niema już przed sobą żadnych tajemnic. Znaczenie geografji jako nauki, wzrosło niezmiernie, ale staje się ona już nauką inną — antropogeografją, — t. j. nauką o rozsiedleniu się człowieka na ziemi. Geografja postawiła na porządku dziennym cały szereg spraw wielkiej wagi, natury ekonomicznej, socjalnej i politycznej. Lecz w tem wszystkiem niema już miejsca dla badacza tego typu co Livingstone, Stanley, Berton, Speak, Nansen lub Amundsen. I dlatego między wierszami stenogramu przemówień kongresowych wyczytać można pewien stary frazes, który mówi, iż „smutno jest na tym świecie, panowie"...

L. R-on.

O ósmych Targach Wschodnich

FELJETON LAIKA.

Jasny i zielony jest Lwów. Nad szerokiemi ulicami śródmieścia wysklepia się ciemno błękitne, wrześniowe niebo, a przed słońcem umyka cień z Marjackiego placu. Drzewa na Wałach Hetmańskich ledwie szeleszczą chłodem, trawniki, spryskane wodą, dymią się parą. Czasem od Wysokiego Zamku spada wiatr i rozszarpuje upalną ciszę południa. Wtedy kędzierzawią się liljowe astry na kląbach i kurz, niczem puder, przysypuje spocone liście begonij.

Płaski bieg ulic wznosi się nagle i w byle jakiej stronie miasta podbiega pagórkiem, dźwigając te swoje puszyste drzewka i tę jasną przestronność. Sfalował się Lwów wzgórzami, jak Bóg dał, więc też rozmaicie wycięły się ulice, byle trafić w wesołą gąszcz jakichś parków i lasków.

I jeszcze dlatego wspinał się Lwów na grzbiety wzgórków, aby mieć dalekowidny zasięg i strażować zwysoka. Coś się tu przecież zawsze radośnie zdobywało, czegoś niezłomnie broniło w dobry i zły czas. Lecz nikt tu nie puszy się chwałą odznaczonej wierności, nikt nie nadyma się sławą bohaterstwa. Nie trzeba ustom skąpić uśmiechu, gdy dzień nad Polską jest pogodny. Ma się tu swoje życzliwe, lwowskie słówka, a serce entuzjazmuje się dla tego, co już jest i dla tego, co przyjdzie. Stąd też w słońcu i zieleni Lwowa najpierw zamieszkać musiał polski optymizm.

Natychmiast przecież, po tych najsmutniejszych dniach wojny domowej, nastał tu pracowity czas, uczciwie natrudzony, troszczący się o gospodarskie jutro. Kiedy trzeba było podejść do wielkich zmian i przeobrazić się pod ład nowej, polskiej rzeczywistości, Lwów otworzył swoje ulice, by stały się drogą przechodnią, wiodącą z Zachodu na Wschód. Odrodzenie Polski nie wywołało tu więc ani bezradnego zdziwienia, ani bezmyślnej radości, lecz odrazu wykreśliło się planem świadomej pracy i odbudową przedniewolnej tradycji.

Z takich to lwowskich myśli i dumek powstała idea Targów Wschodnich. Na placu, na którym przed wielu laty Wystawa Krajowa stwierdziła galicyjską samoistność w austrjacko - węgierskim zespole — na tym placu właśnie już po raz ósmy gromadzi się polska praca wytwórcza, a obcy wystawcy ofiarują nam swoje wyroby. Ambicja i konkurencja — dwie muzy nowoczesnego przemysłu i handlu są szczególnie łaskawe dla lwowskich Targów.

Od ośmiu lat, w pierwsze wrześniowe dni napełnia się Lwów wielojęzycznym zgiełkiem. Przybywają tu dżentelmeni wszelakich „branż" i porozumiewają się międzynarodowem słowem: — transakcja. Praca rąk ludzkich zwycięża zapory granic i wędruje w daleki świat na chłonne rynki. Sukno bielskie, perkalik łódzki, gliniański kilimek znają najdalsze wędrówki i niewiadomo gdzie spełznie ich barwa, wyblaknie deseń.

Nieobjęta myślą jest ta wymienność wytwórczości, a żaden bilans handlowy nie wyjaśni laikowi - konsumentowi, skąd bierze się wieloraki sprzęt codziennego użytku, gdzie przędło się włókno jego odzieży, z jakiej ziemi wyrosło ziarno jego pożywienia. Żywi nas cała ziemia, a nad oleistą wodą portów dźwigary bez odpoczynku sprawują służbę dla nas białych, czarnych i żółtych.

Tak fantazjując o sprawach, które nie znamy, jedziemy na Targi Wschodnie. Nic przecież nie mamy wspólnego z przemysłem, handlem i ową „tranzakcją" i dlatego powinniśmy dobrze słuchać, co nam opowiada uprzejmy Dyrektor Targów, p. Henryk Grosman. Więc o zamiarach, o daleko sięgających celach i o tem, że rząd, że zagranica interesują się, że planów na przyszłość jest mnóstwo... Ale właśnie samochód winduje się pod górę i motor pracuje głośno, jak młyn. Wille w parkach zajaskrawiły się bielą, jakiś wystrojony kwietnik wyrysował się arabeskami i trudno już spamiętać cyfry i daty, choć pewnie są ważniejsze od zamaszystych klonów i drobnych liści akacyj.

Dopiero na samym placu usiłujemy nastawić się na nowoczesność i business, tembardziej, że pan Dyrektor informuje rzeczowo o urządzeniach Targów, o własnym torze kolejowym, o wielu świetnych ulepszeniach. Za bramą długa ulica tnie się nawprost, a dalej skręca się łukiem. Brodzimy szutrowaniem i świeżym piaskiem przez to dziwne miasto pawilonów, domków, kiosków. Szeroko, białemi skrzydłami rozwinął się Pawilon Centralny, trochę włoski a trochę rodzimy w stylu.

Bo właśnie na Targach jest styl i romantyczność, jest polot i swojskość, jest biało, dworkowo i jasno. Trwa tu nastrój Lwowa, najmilszego miasta w Polsce. Niema więc na Targach ani szarości, ani nic nie jest groźne oczom. To nie żelazobeton, nie srogość pracy — to wilegjatura.

Większe pawilony są ażurowe od arkad, a Pawilon Sztuki, owinięty blaskiem słońca, patrzy z terasy na miasto, obłożone zielenią, jak owoce na paterze.

Nasza ciekawość staje się śmielszą, zgarniamy wzrokiem, niczem siecią, ile się da uchwycić, a czasem, jak wędką, łowimy jakiś szczegół bliższy pragnieniu, a bardzo daleki — ceną.

W Pałacu Sztuki pod strażą tuj i klombów wystawia przemysł włókienniczy i pysznią się aksamitnie wschodnie dywany. Jesteśmy oszołomieni kolorami, które łączą się i plączą, a czasem krzyczą barwnym, damskim gałgankiem. Chusty haftowane, rozpięte, jak żagle, apaszki wiotkie i łaszące się, metaliczna patyna makat, kanciasta stylizacja kilimów, obłąkana geometryczność wzorów dywanowych!... W Pawilonie Banku Małopolskiego gospodaruje Krajowy Patronat Rękodzieł i Drobnego Przemysłu. Nazbierały się tu rozmaitości na stołach i ścianach — od fartuszka z niebieskiego kretonu do włochatego kilimu huculskiego. Duszno tu, kiermaszowo i nęcąco.

Monopole państwowe wystąpiły godnie i zachęcają do grzechu. Usprawiedliwiona jest namiętność palacza, który niebacznie wierzy, że te sprasowane, brązowe i pachnące liście staną się papierosem „Ergo", „Maden", czy „Złotą Panią".

W innym pawilonie czar maszyn i żelastwa, w innym przyrządy piekarskie, młynarskie, mleczarskie, jakieś cudactwa, popisujące się zręcznością, szybkością i siłą. Dalej wielorakie systemy miar i wag, probierz ludzkiej uczciwości. Pod gołem niebem, jak przystało, ustawiono narzędzia rolnicze, pługi, grabiarki na obrobionem skraweczku ziemi, młynki żółte z czerwoną „podszewką", albo szafirowe żniwiarki i kosiarki, niczem wielonogie pająki.

Przy pawilonach miodosytni ktoś łakomy może poznać smak małmazji, a Baczewski zbudował wieżę z butelek i drwi z prohibicyjnych gróźb. Kto woli egzotyzm, znajdzie palestyński karmel, poczem odrazu suchą nogą

W walce z międzynarodowym zbrodniarzem

Gdy zbrodniarz międzynarodowy popełni przestępstwo, zawsze stara się czmychnąć za najbliższą granicę, aby uniknąć aresztowania. Za morderstwo popełnione we Francji nie można bowiem być skazanym w Niemczech. Niema także możności ujęcia zbrodniarza przez własnych funkcjonarjuszów policyjnych na terenie obcego państwa i sprowadzenia go do kraju. W tym celu potrzebne są rokowania na drodze dyplomatycznej. Ta zaś procedura jest tak uciążliwa i wymaga tyle zachodu i czasu że jeden z wybitnych praktyków policyjnych angielskich już dawno temu sformułował wniosek, w myśl którego zbrodniarz powinien być sądzony przez sądy tego państwa w którem został ujęty, bez uruchomienia ociężałej i zardzewiałej ze starości maszyny dyplomatycznej w celu wydania go władzom sądowym kraju, w którym dopuścił się zbrodni.

Dotychczas obowiązuje następująca procedura: Jakiś przestępca popełnia np. w Warszawie morderstwo rabunkowe i ucieka zagranicę. Policja warszawska z obserwacji i kontroli korespondencji osób, spowinowaconych z przestępcą, dowiaduje się, że schronił się on do Francji i wstąpił do Legji cudzoziemskiej. W takim wypadku władza policyjna musi rozpocząć na drodze dyplomatycznej starania o wydanie przestępcy. W tym celu policja przedkłada akta sprawy właściwemu sądowi, który przekazuje je z odpowiednim wnioskiem ministerstwu sprawiedliwości. Ministerstwo sprawiedliwości odsyła sprawę do ministerstwa spraw zagranicznych skąd zkolei wędruje ona do Paryża do ambasadora polskiego. Ambasador zwraca się do francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych z prośbą o spowodowanie wydania przestępcy. Francuskie ministerstwo spraw zagranicznych przekazuje sprawę ministerstwu spraw wewnętrznych celem spowodowania zaaresztowania przestępcy. Ponieważ w danym wypadku zbrodniarz służy w szeregach armji francuskiej, ministerstwo spraw wewnętrznych przekazuje akta i wniosek ministerstwu spraw wojskowych, które dopiero może zarządzić aresztowanie.

Z niektóremi państwami istnieją specjalne umowy, które upraszczają nieco tą przewlekłą i zawiłą procedurę i dopuszczają bezpośrednie komunikowanie się między władzami policyjnemi i sądowemi dwuch państw, o ile przedtem wydany został nakaz aresztowania lub listy gończe.

Ale i ten uproszczony sposób nie rozwiązuje ostatecznie sprawy i sprytny przestępca, o ile jest odpowiednio ruchliwy może zawsze wymykać się policji, przenosząc się z jednego państwa do drugiego, zanim formalności zostały załatwione. Okazała się przeto potrzeba uwzględnienia w kodeksach karnych z pewnemi zastrzeżeniami i ograniczeniami zasady „ubi te invenero, ibi te iudicabo" — gdzie cię znajdą, tam cię osądzą. Zasada ta związana jest ściśle z zasadą światowego kodeksu karnego. Ta ostatnia zasada mówi, że każdy zbrodniarz, który popełnił gdziekolwiek przestępstwo, może być osądzony przez sądy tego kraju, w którym został schwytany. Ślady takiej zasady znajdujemy już w starożytności, niż w prawie rzymsko-longobardzkiem, które postanawiało, że t. zw. „assassinus", t. j. morderca-bandyta, jako „hostis generis humani" — wróg rodzaju ludzkiego — może być ujęty, osądzony i ukarany wszędzie, gdziekolwiek się pokazał.

Także w wiekach średnich uznawano do pewnego stopnia tę zasadę, chociaż w owych czasach zakres działania ustaw karnych był niezmiernie ograniczony, gdyż prawie każde miasto miało swoje przepisy karne i troszczyło się tylko o te przestępstwa, które popełnione były w jego granicach oraz o takie jeszcze, które interesowały je z innych względów, np. skarbowych. Jednakże istniał zwyczaj karania morderców oraz pewnego gatunku złodziei i opryszków także i za czyny popełnione poza granicami własnego miasta. Zasada ta doznała dalszego rozwinięcia przez szkołę prawniczą Grotiusa. Zasadą tej szkoły było, iż właściwie każde państwo powinno samo troszczyć się o swoich zbrodniarzy i ich poszukiwanie. Aby jednak na świecie istniała sprawiedliwość, każde państwo zobowiązane jest współdziałać w tępieniu zbrodni przez aresztowanie, karanie lub wydawanie zbrodniarzy poszukiwanych.

Państwa nowoczesne przejęły tę zasadę, lecz nie w całej rozciągłości. Ustalono mianowicie pewne kategorje przestępstw, do których zasada ta się odnosi. Między innemi są to następujące przestępstwa: handel żywym towarem, rozpowszechnianie niemoralnych wydawnictw, fałszerstwo pieniędzy. Japończyk, któryby np. w Polsce fabrykował franki francuskie, a w Londynie puszczał je w obieg, może być osądzony i skazany w Berlinie.

W roku 1902 zebrała się w Paryżu międzynarodowa konferencja, której zadaniem było obmyśleć sposoby skutecznego zwalczania handlu żywym towarem. Konferencja ta opracowała pewne wnioski i wnioski te zostały wprowadzone w życie częściowo w roku 1905, a częściowo dopiero w roku 1910. Po wojnie sprawa tych wniosków przekazana została Lidze Narodów, która czuwa nad wykonywaniem ich przez poszczególne państwa. Dla krajów Bliskiego Wschodu utworzona została przez Ligę Narodów specjalna komisja śledcza, składająca się z dwuch kobiet i jednego mężczyzny, która pracuje w porozumieniu z władzami bezpieczeństwa w tych państwach. W innych krajach przy władzach policyjnych uruchomione zostały specjalne referaty dla tej kategoryj przestępstw.

W sprawie niemoralnych publikacyj zawarta została w roku 1910 w Paryżu konwencja międzynarodowa w myśl której każde państwo obowiązane jest gromadzić u siebie materjał, który według postanowień tej konwencji uważany jest za niemoralny i podlegający karze.

* * *

Już przed wojną powstała myśl stworzenia międzynarodowej policji, o charakterze ponad państwowym, która byłaby uprawniona do ścigania przestępców bez względu na granice państw. Usiłowano nawet już wtedy doprowadzić do skutku międzynarodową konferencję w tej sprawie, ale bez rezultatu, gdyż żadna z takich konferencyj nie posiadała bezsprzecznie międzynarodowego charakteru. W konferencjach, odbytych w latach 1909 i 1912, wzięły udział tylko kraje z językiem hiszpańskim na konferencji w roku 1913 zjawili się tylko szefowie policyj amerykańskich, a na konferencji w Monacco, w roku 1914, tylko przedstawiciele krajów z językiem angielskim. Nie można było przeto na żadnej z nich dojść do rezultatów pozytywnych. Zresztą na konferencji w Monacco wysunięto tak daleko idące żądania, że trudno byłoby je zrealizować. Domagano się bowiem, aby wydane zostało prawo międzynarodowe, zezwalające każdemu urzędnikowi policyjnemu dokonywać aresztowań w każdym kraju bez jakiejkolwiek interwencji dyplomatycznej, oraz zorganizowania międzynarodowej brygady policyjnej, która miałaby prawo występować czynnie w każdym kraju.

Przeciw tym żądaniom podniesiono wówczas wiele zastrzeżeń, z których najważniejszem było to, że takich międzynarodowych urzędników policyjnych używanoby niechybnie do celów szpiegowskich.

Przeciwnicy tych wniosków zaproponowali ze swej strony formułę, aby dozwolonem było bezpośrednie komunikowanie się władz policyjnych wszystkich państw i wzajemne udzielanie sobie informacyj o zbiegłych zbrodniarzach. Rzeczą policji danego kraju byłoby, co w każdym wypadku postanowi. Można jednak przewidywać, że ze względu na bezpieczeństwo w własnym kraju, policja przyaresztuje sygnalizowanego przestępcę, zwłaszcza jeżeli w ramach takiej konwencji nałożony zostanie na władze policyjne obowiązek przyjmowania do wiadomości wszelkich takich doniesień i reagowania na nie tak samo szybko, jak gdyby wychodziły od władzy krajowej.

Po wojnie jeszcze trudniej było zwołać międzynarodową konferencję policyjną. Ale z drugiej strony zbrodniczość w pierwszych latach powojennych wzrosła w tak zastraszający sposób, że konieczność międzynarodowego porozumienia stała się więcej niż kiedykolwiek palącą. Wreszcie dzięki inicjatywie jednego z holenderskich fachowców policyjnych konferencja taka doszła do skutku w roku 1923 w Wiedniu.

Chodziło na tej konferencji przedewszystkiem o to, aby ustalić jakąś dziedzinę zbrodni, której zwalczanie stanowiłoby dla wszystkich państw zagadnienie tak doniosłe, iż zdecydowałyby się na najściślejsze współdziałanie w tym celu. Takiej wagi nie przywiązywano jednak powszechnie ani do handlu żywym towarem ani do bandytyzmu ani do zamachów dynamitowych. Za podstawę obrano tedy fałszerstwo pieniędzy. Była to myśl bardzo szczęśliwa, gdyż z jednej strony istnieją niemal w każdem państwie specjalne wydziały policyjne dla walki z fałszerstwem pieniędzy, z drugiej zaś każde państwo zainteresowane jest gospodarczo w zwalczaniu tego przestępstwa. To też bez dłuższej dyskusji zgodzono się na uznanie wiedeńskiej centrali fałszerskiej za międzynarodwą centralę do zwalczania fałszerstwa pieniędzy, a w toku dalszych narad postanowiono powołać do życia *„Międzynarodową Policyjną Komisję Kryminalną"* z siedzibą w Wiedniu.

Ta międzynarodowa komisja, zwana popularnie *„policją światową"* nie posiada uprawnień do występowania w charakterze urzędowym na terenie obcych państw, ani też *nie posiada własnych funkcjonarjuszów.* W rzeczywistości jest to tylko biuro, na czele którego stoi komitet wykonawczy i rada plenarna, złożona z szefów policyj wszystkich państw. Zadaniem tego biura jest pośredniczenie w sprawach pościgu i aresztowań celem uniknięcia drogi dyplomatycznej. Policja polska, ścigając jakiegoś zbrodniarza, który schronił się np. na Węgry, zwraca się telegraficznie, albo nawet telefonicznie do biura policji światowej w Wiedniu z prośbą o aresztowanie go. Biuro wiedeńskie komunikuje tę prośbę niezwłocznie policji węgierskiej wraz z wszystkimi szczegółami i zbrodniarz jeszcze tego samego dnia może znaleźć się w aresztach policji węgierskiej do dyspozycji policyjnych władz polskich, które ze swej strony wszczynają następnie kroki dyplomatyczne w sprawie wydania go.

Biuro policji światowej w Wiedniu otrzymuje również z wszystkich państw informacje o wykrytych śladach fałszerstwa pieniędzy lub o śladach międzynarodowych przestępców i komunikuje je od siebie albo władzom policyjnym wszystkich państw, albo też tylko tym, które bezpośrednio są zainteresowane. Ponadto biuro to utrzymuje w Kopenhadze centralę identyfikacyjną, która posiada zbiór odcisków palców wszystkich przestępców międzynarodowych i udziela informacyj każdej władzy policyjnej. Dla uproszczenia komunikacji telegraficznej opracowany został specjalny szyfr policyjny, którym władze policyjne posługują się w telegraficznej korespondencji z biurem.

O policji światowej niewiele się słyszy i to jest dobrze, gdyż władza policyjna, która pragnie, aby jaknajwięcej mówiono o niej, niewiele jest warta i widocznie bardzo reklamy potrzebuje. Biuro wiedeńskie istnieje już pięć lat i oddało w tym czasie olbrzymie usługi przy ściganiu przestępców międzynarodowych.

L. J.

---

bez biblijnego cudu dostanie się do Egiptu, który kusi polski rynek bawełną jedwabistą, puszystą, niby owcza wełna. Bułgarja zachwala swoje kolorowe hafty, Czechosłowacja pozwala polskim firmom zalecać moserowskie kryształy, ciemnoszafirowe, jak niebo po nocy, liljowe, jak kwiat heljotropu, czerwone, rubinowe, opasane złoconą girlandą.

Zosobna w małych kioskach tańczą pacykowskie markizy, prześwietlają słońce witraże Żeleńskiego, a na żurawińskich alabastrach przysiadają białe gołąbki.

Zebrała się tu praca ludzka z różnolitych warsztatów. Takie same ręce splatały niciany guziczek, tkały gobelin, malowały kwiat na porcelanie, szlifowały marmur i wyświecały politurę na mahoniu. Takie same ręce farbowały futra i cyzelowały mechaniczno-ślusarską robotę. Mały, niewinny flakonik i łonty z zakładu „Pocisk" spotkały się na Placu Targów, aby świadczyć o rozległej skali ludzkich „zamiłowań". Ale, gdy się tak pomiesza i poplącze: — liny i lustra, maszyny do pisania i ekstrakty owocowe, dzwony i obrabiarki do drzewa, kolejowe sygnały i nawozy sztuczne, koniaki i piece kaflowe, gdy się tak zważy bezmiar potrzeb ludzkich, ogarnia lęk przed sobą samym. Bo jakże skomplikowane jest to nasze współczesne uproszczone życie! Oplątani siecią szyn, zagłuszeni turkotem machin, wzięci w niewolę upodobań i coraz bardziej zachłanni, coraz więcej niezadowoleni i rozkapryszeni — tworzymy sobie wciąż taką samą metafizykę szczęścia, kłamiąc o przystawaniu na małem. Marzymy tak o robinzonadzie na odludnej wyspie, wierząc, że samowystarczalność jest wolnością. Bo z Targów wynieśliśmy właśnie poczucie bezradności cywilizowanego indywiduum, rozporządzającego miljonami rąk maszyn i mózgów.

(Lwów, we wrześniu).

Herminja Naglerowa.

Cisza w biurze

W ostatnim, sierpniowym, „Przeglądzie Organizacji" pisze p. Kazimierz Jabłowski o zagadnieiu ciszy w lokalu biurowym. Z artykułu tego wyjmujemy następujące, ciekawe ustępy:

„Cisza w biurze sprzyja dokładności wykonania, sprawności załatwienia, ułatwia wzajemne porozumiewanie się i nadaje „urzędowaniu" charakter powagi.

Zarząd elektrowni w Niagara Falls zaobserwował, iż dzięki zapewnieniu pracownikom ciszy w biurze — wydajność ich pracy zwiększyła się o 50 proc.; Towarzystwo Ubezpieczeń Equitable w New Yorku stwierdziło, iż przestrzeganie bezwzględnej ciszy w biurze pozwoliło na zwiększenie wydajności o 40 proc. Cały szereg pomiarów dokonanych przez G. C. Hammana, prezesa Rubberstone Corp. w Chicago dowiodło, że cisza jest czynnikiem wielkiej wartości i wielkiego znaczenia, albowiem zwiększa uwagę urzędnika i jego zdolność apercepcji o niemal 100 proc., a ogólną wydajność o 30—80 proc.

Pierwszym środkiem, zdążającym do zapewnienia ciszy jest wydyscyplinowanie zarówno własnego personelu jak i swych klijentów w kierunku zachowywania spokoju w lokalu biurowym. Najpoważniejsza rozmowa może być prowadzona niepodniesionym głosem, najpilniejsze zlecenie nie wymaga bieganiny i zamętu. W biurze przedsiębiorstwa filmowego Paramount znajduje się nad każdem biurkiem i na korytarzach napis: „Obowiązuje tu jeden tylko przepis: cisza!"

Dyscyplina opanowania swych nerwów, mówienia cicho i spokojnie, poruszania się po biurze bez hałasów i nietrzaskanie drzwiami stała się w Stanach Zjednoczonych powszechną; wystarczy zaobserwować zachowanie się publiczności na wielkich dworcach kolejowych lub poczekalniach kin, aby zrozumieć jak głęboko wpojone zostały tam zasady ciszy.

Pozatem istnieje cały szereg środków technicznych absorbowania dźwięków lub zapobiegania ich powstawaniu. Do środków tych zaliczyć wypada:

a) użycie specjalnych materjałów na posadzki; podłogi ksylolitowe kryte są płytami gumowemi, linoleum i suknem;

b) zaopatrywanie drzwi w tłoki hamujące gwałtowne zatrzaskiwanie;

c) zastąpienie sygnalizacji dzwonkowej sygnalizacją świetlną;

d) zaopatrzenie aparatów telefonicznych w brzęczyki zamiast dzwonków oraz w czulsze mikrofony, umożliwiające mówienie szeptem;

e) używanie cicho piszących maszyn oraz w miarę możności lokowanie wydziałów maszyn liczących lub innych w oddzielnych salach szczelnie oddzielonych od pozostałych działów biura;

f) wprowadzenie dobrej służby informacyjnej na korytarzach; dobra informacja i właściwe skierowywanie interesantów zapobiega gwarom i krzątaninie na sali.

Wszyscy niemal odczuwają i doceniają znaczenie czynnika ciszy dla ustroju nerwowego i dlatego coraz liczniejsze są badania, skierowane ku zapewnieniu najlepszych warunków pracy dla urzędnika".

MIASTO SAMOCHODÓW.

Jeden z finansistów, który niedawno wrócił z Ameryki opowiada:

„Bawiąc w Detroit, zwiedziłem zakłady samochodowe Henry Forda. Wracając do hotelu w towarzystwie kolegi amerykańskiego, przystanęliśmy na chwilę przed hotelem na dużym okrągłym skwerze. Zauważyłem niebawem, że kilkanaście samochodów jeździ ciągle dookoła skweru w wolnem tempie. Samochody były puste a przy kierownicy w każdym z nich siedziała ładna kobieta. Począłem bliżej obserwować, kierowczynie uśmiechały się do mnie, a jedna zatrzymała samochód tuż przed nami i poczęła spojrzeniem wcale niedwuznacznem zapraszać do samochodu.

Przyjaciel mój wyjaśnił mi, kim były te panie i w jakim celu zapraszają pasażerów. Wskazał mi w pobliżu hotel, przed którym co chwilę zatrzymywał się jakiś z tych samochodów, poczem kierowczyni wraz z pasażerem znikali za drzwiami hotelu.

Poznałem wtedy, że naprawdę znalazłem się w mieście samochodów.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Poseł włoski o Polsce

Za czasów niewoli nauczyliśmy się zwracać szczególną uwagę na wszystko, co mówili o nas inni. Każdy wniosek dodatni podnosiliśmy z triumfem, jako dowód żywotności narodu, skazanego na zagładę. Wskutek tego wytworzyła się w nas osobliwa wrażliwość na każdy głos cudzoziemski o Polsce. Pierwsza lepsza wzmianka obcego pismaka stawała się w prasie naszej przedmiotem dyskusji, pobudzała do przesadnych, niekiedy śmiesznych entuzjazmów albo też wywoływała pesymistyczne narzekania. Niekiedy ten podziw dla opinji cudzoziemskiej dochodził do granic, uwłaczających godności narodowej. Chorobliwa manja nie osłabła, niestety, po odzyskaniu niepodległości: tak samo dziś, jak wczoraj usiłujemy w wielu wypadkach mierzyć nasze wartości kulturalne nie tyle poczuciem własnej siły, ile poglądami „zagranicy". Z błahych „zwycięstw" na olimpjadzie potrafimy uczynić moment jakiejś niezwykłej chwały ogólno - narodowej. Z jednakową zawsze skwapliwością notujemy wszelkie bzdurstwa, które o nas wypisują przelotni turyści lub nieproszeni nauczyciele. To też w pierwszych zwłaszcza latach odrodzonej Polski cudzoziemcy wyzyskiwali zupełnie świadomie tę naszą słabość. Rozmaite „misje" obce zachowywały się w Warszawie i na prowincji, jak w dzikim kraju. Jednocześnie na żywym organizmie młodego państwa odbywały się różne doświadczenia „dyplomatyczne" całej Europy, o których ogół polski wiedział bardzo mało. Krzyżowały się „wpływy" i zabiegi o hegemonję, a taka np. sprawa pierwszorzędnej wagi, jak ustalanie granic Polski, zależała często od humoru tego lub owego dyplomaty, od powodzenia lub nie powodzenia narzuconej Polsce tranzakcji handlowej.

Dzisiaj, gdy Polska uregulowała już jako tako swe sprawy gospodarcze i zyskała zaufanie „zagranicy", te pierwsze lata naszych walk i zmagań się z niesłychanemi trudnościami należą już do historji. A historja to w wysokim stopniu pouczająca i znamienna. Wydano właśnie przed tygodniem w polskim przekładzie obszerną księgę (364 str.) cudzoziemską o pierwszych pięciu latach naszej państwowości. Napisał ją Francesco Thomasini, b. poseł włoski w Polsce. Księga otrzymała tytuł „Odrodzenie Polski" (Warszawa, 1928, nakł. księg. F. Hoesicka). Cokolwiek powie się o tem dziele, zgóry przyznać należy, że tak szczegółowej historji danej epoki nie posiadamy dotychczas w języku polskim.

Tytuł zapowiada znacznie więcej, niż otrzymujemy w treści. P. Thomasini naszego życia kulturalnego nie uwzględnia zgoła. Nie zna go zapewne, a jako zawodowy dyplomata sądzi, że można wydać sąd dostateczny o danym kraju bez ścisłego łączenia obrazu jego kultury ogólnej z zarysem jego poczynań politycznych. Dzieło p. Thomasiniego dzieli się na dwie wyraźne części: stosunki wewnętrzne w Polsce oraz stosunki zewnętrzne: z Rosją, Niemcami, Litwą, Austrją, Francją, Anglją, Stanami Zjednoczonemi, Turcją, państwami bałtyckiemi i Włochami. W pierwszej części podaje autor (nieco żałosną) historję naszego życia parlamentarnego oraz naszych spraw wyznaniowych. Polskich mężów stanu charakteryzuje zwięźle. Piłsudski „niewątpliwie posiada swoje wady: jest stronniczym, wspaniałomyślnym, a nawet słabym w stosunku do swoich zwolenników, nieubłaganym dla tych, którzy mu się opierają. Posiada w swym charakterze coś zawiłego, co mogłoby równie dobrze pochodzić ze skłonności wrodzonych, jak z przyzwyczajenia nabytego w długim okresie pracy konspiracyjnej. Piłsudski dąży do osiągnięcia swych celów z nieubłaganą stanowczością nawet i wtedy, kiedy wie, iż wprowadza w czyn pomysły czysto osobiste, mogące wywołać potężny sprzeciw, któryby kazał każdemu innemu dobrze się zastanowić, a nawet zwątpić o sprawie. Popełnił on bezwarunkowo wielkie błędy, ale trudno jest odmówić mu wybitnych zdolności politycznych, które czynią z niego nadzwyczajnego przywódcę mas. W każdym razie jestem przekonany, iż nie chcąc popełnić najbardziej elementarnej niesprawiedliwości, nie można nie uznać, iż zawsze poświęca wszystko dla sprawy swego narodu i że mimo to, iż przez cztery lata zajmował najwyższe stanowisko w Państwie i był wyposażony we władzę prawie dyktatorską, pozostał bardzo ubogim i prowadzi życie nadzwyczaj skromne". Życiorys Paderewskiego kończy się uwagą: „Ci, którzy z ironją przedstawiają Paderewskiego jako muzyka, mniej lub więcej pełnego niezdrowej ambicji, idącego „ultra crepidam" i chcącego się przedzierzgnąć w męża stanu, nie znają go albo też świadomie chcą mu wyrządzić krzywdę. Poza sferą czystego artyzmu, jest to człowiek szerokiej kultury, szlachetnego i żywego umysłu, posiadający również istotny talent oratorski, nieco teatralny, ale porywający".

W charakterystyce poszczególnych ministrów p. Thomasini ma swe sympatje i antypatje. Największemi pochwałami darzy Sikorskiego i Skirmunta, wielbiąc ich rozum polityczny i umiarkowanie. W Korfantym widzi „jednego z tych rzadkich ludzi, którzy umieją wybrać swą drogę i kroczyć po niej, którzy nigdy nie poddają się żadnym wpływom, ani nie idą na żaden kompromis"... Mniej się p. Thomasiniemu podobał ks. Sapieha: „jest człowiekiem o umysłowości i wrażliwości bardziej zmiennej, niż lotne piaski pustyni i niejednokrotnie wprowadza w osłupienie tych, którzy, prowadząc z nim rokowania, nie mogą pojąć pewnych, nagłych i djametralnych zmian w jego zapatrywaniach". Ponikowski jest „człowiekiem raczej zimnym, nie posiada błyskotliwej inteligencji, ale za to jest pracownikiem wytrwałym i sumiennym, o uczciwości wprost kryształowej i prostocie spartańskiej". Artur Śliwiński „osobiście szanowany, był jednak uważany za nazbyt zaangażowanego politycznie oraz za człowieka słabego charakteru. Już przy formowaniu gabinetu wykazał dobitnie brak zręczności".

Z historją naszych pierwszych gabinetów wiąże p. Thomasini rozważanie najważniejszych wydarzeń ich rządów: najazd bolszewicki, konstytucję polską, wybory powszechne, wybór prezydenta Narutowicza i Wojciechowskiego, zamordowanie pierwszego prezydenta, przesilenie finansowe i klęskę inflacji. W wszystkich tych sprawach informuje p. Thomasini dość sumiennie, chociaż nie może powstrzymać się od takich osobliwych uwag „dyplomatycznych", jak zapewnienie, że zagranicą zachwiało się do Polski zaufanie wskutek naszych „czynów nieroztropnych i nieudatnych (!), jak wyprawa kijowska, zajęcie Wilna przez gen. Żeligowskiego i powstanie górno-śląskie". Wśród szczegółów mniej znanych warto zatrzymać się nad relacją p. Thomasiniego o wyjeździe z Warszawy posłów zagranicznych podczas zbliżania się bolszewików do stolicy: „Od 5 do 13 sierpnia ciało dyplomatyczne zbierało się prawie codziennie u swego dziekana, Monsignora Achillesa Rattiego. Mówiono, żeby zażądać od rządu polskiego wyznaczenia stolicy tymczasowej i wysłania tam wraz z ciałem dyplomatycznym części członków gabinetu, albo przynajmniej ministra spraw zagranicznych. Minister angielski, sir Horace Rumbuld i niemiecki hr. Oberndorff odznaczali się szczególnie wśród tych, którzy, posiadając duże znaczenie polityczne, wywierali w tym kierunku gwałtowną presję na rząd. Pierwszy twierdził, że jego rząd nigdyby mu nie przebaczył, gdyby dopuścił do tego, by się dostać w ręce bolszewików oraz, że posiadał instrukcje, by wywierać nacisk na wybranie Poznania na stolicę tymczasową. Usprawiedliwiał to względami strategicznemi, które jednak wydały się niezbyt przekonywujące, podczas, gdy wyraźnie przezierało jego życzenie zbliżenia się do Gdańska, czyli ewentualnej podstawy od zwrotu angielskiego. Poseł niemiecki twierdził również, że nie chce się wystawić na zetknięcie z bolszewikami, budzącymi w nim wstręt. Wywierał wrażenie, że bynajmniej nie obawia się o bezpieczeństwo własnej osoby, ale że mu zależało bardzo na tem, aby oficjalni przedstawiciele zagraniczni usunęli się z Warszawy, celem siania popłochu i pozostawienia otwartego pola innym czynnikom. Podczas, gdy poseł francuski zachowywał się raczej biernie, Nuncjusz Apostolski i ja oparliśmy się stanowczo jakiemukolwiek krokowi dyplomatycznemu, mającemu na celu wpłynięcie na rząd polski, tak co do momentu opuszczenia Warszawy, jak i co do wyboru ewent. stolicy tymczasowej".

Ta niedyskrecja włoskiego dyplomaty jest błahą wobec innej, o której szeroki ogół polski dowie się z niedowierzaniem i zdziwieniem. Według p. Thomasiniego w końcu lipca 1920 roku położenie nasze wydało się tak poważne, że rząd polski, zaraz po utworzeniu gabinetu Witosa i Daszyńskiego, szukał dróg porozumienia się z... Niemcami! „Wielu szczegółów" p. Thomasini podać nie chce „przez zrozumiałe motywy dyskrecji", ale sam fakt sojuszu polsko-niemieckiego podkreśla z całą stanowczością. „Nie powinno to dziwić, — tłumaczy — jeżeli się pomyśli, że położenie wojskowe polskie wydawało się wówczas rozpaczliwe i że Ententa nietylko nie czyniła żadnej wzmianki o udzieleniu tej pomocy, dla której premjer Grabski skapitulował w Spa, ale okazywała najdziwniejszą ustępliwość w stosunku do bolszewików. Sir Reginaldo Tower, dyplomata angielski, który zajmował stanowisko wysokiego komisarza głównych mocarstw w Gdańsku, przeszkadzał wyładowywaniu tamże materjału wojennego, przeznaczonego dla Polski, a Lloyd George proponował Kamjeniewowi wysłanie tam delegata dla przekonania się, że materjał ten istotnie przez Gdańsk nie przechodzi. Ze względu na małą wartość wojska bolszewickiego, wystarczyłby atak skrzydłowy przez niewielkie siły niemieckie z Prus Wschodnich, by rozbić najeźdźcę i odciąć mu połączenie z tyłami".

Niewątpliwie historycy polscy tę wiadomość wyświetlą należycie. Tymczasem z samej książki p. Thomasiniego wynika, że sojusz polsko-niemiecki podczas najazdu bolszewickiego nie miałby najmniejszych szans powodzenia. Niemcy zawarli właśnie z bolszewikami bardzo wyraźne porozumienie na niekorzyść Polski. Wierzyli w niechybny upadek Warszawy i robili wszystko, aby tę chwilę przyśpieszyć. Hrab. Oberndorff „w dniu swego przybycia do stolicy Polski wręczył rządowi notę, w której czynił przedstawienia z powodu niebezpieczeństw, na jakie mogły być narażone mniejszości niemieckie na terytorjach, ustąpionych Polsce mocą traktatu wersalskiego. Dokument ten miał oczywiście być wstępem do akcji dyplomatycznej, która mogła pociągnąć za sobą również interwencję innego rodzaju, o ileby dalszy rozwój wypadków nasunął odpowiednią sposobność". P. Thomasini twierdzi, że wszystkie stronnictwa niemieckie, a nawet kierownicy rządu w Gdańsku porozumieli się z bolszewikami przed wtargnięciem ich do Polski i że istniała skoordynowana akcja wszystkich Niemców w stosunku do rządu sowieckiego wymierzona przeciw Polsce.

Zatarg litewsko-polski bada p. Thomasini dość gruntownie, opierając się na danych statystycznych rosyjskich, niemieckich i polskich. Z rozważania tego wyprowadza wniosek, że rząd litewski nie ma żadnych podstaw, czy to historycznych, czy etnograficznych do upominania się o Wilno; że w Wilnie żywioł polski jest przeważający, a na terytorjum otaczającem to miasto żywioł polski jest w bezwzględnej większości.

Wpływy francuskie w Polsce odrodzonej drażnią p. Thomasiniego przez cały czas jego przedstawicielstwa dyplomatycznego. Dowodzi, że polityka francuska zajęła stanowisko zdecydowanie i systematycznie wrogie względem interesów polskich w sporze Polski z Czechosłowacją; że misja wojskowa francuska licząca 1000 zgórą członków „ze wspaniałym sztabem generalnym złożonym z jenerałów", płatna z wątłego budżetu polskiego, nie była tak bardzo znowu potrzebna; że Francja, aby zapewnić sobie przeważny wpływ w Polsce, nie cofnęła się przed ingerencją w jej sprawy wewnętrzne. Podobno w roku 1920 Francja sprzeciwiła się nominacji Daszyńskiego na ministra spraw zagranicznych, a w roku 1922 przeszkodziła objęciu tegoż stanowiska przez Zaleskiego; w roku 1923 zachowanie się marszałka Focha względem Piłsudskiego miało — według p. Thomasiniego — przyczynić się do przyśpieszenia upadku gabinetu Sikorskiego i t. d. Wogóle p. Thomasini stwierdza, że Francja rozwijała i rozwija intensywną działalność, aby utrwalić swe wpływy w Polsce; że szerokie sfery narodu polskiego czują, iż nietylko w obecnych warunkach przyjaźń i przymierze z Francją nie wystarczają, aby bronić wszystkich interesów Polski, lecz, że w pewnych określonych okolicznościach, mogłyby się okazać niedostatecznemi nawet dla obrony przed Niemcami.

Ostatni rozdział poświęca p. Thomasini stosunkom polsko-włoskim. Z natury rzeczy nie mogły one mieć takiej rozległości i dynamiki, jak nasze stosunki z sąsiadami i z Francją. Ale p. Thomasini poświęca im sporo miejsca ze względu na włoską misję. Stara się, zarówno przy charakterystyce stosunków politycznych, jak układów gospodarczych, podkreślić swą wielką dla Polski sympatję i życzliwy udział Włoch w sprawie naszych granic. Przypomina jeszcze raz nieporozumienia, wynikłe z powodu zachowania się Włochów podczas plebiscytu na Śląsku i usiłuje wyjaśnić ostatecznie dobrą wolę swego rządu w tej sprawie.

Przy rozpatrywaniu naszych stosunków gospodarczych z Włochami, porusza p. Thomasini sprawę niefortunnych samolotów włoskich, odrzuconych przez gen. Leveque'a, szefa lotnictwa polskiego. Wysoce charakterystyczna historja tej sprawy, traktowana z całą... otwartością, poucza od czego niekiedy zależało ustalenie tej lub owej granicy Polski. „Dopiero — pisze p. Thomasini w zakończeniu swej relacji — w połowie sierpnia został zawarty układ między firmą Breda a rządem polskim, lecz w tym celu musiałem kilkakrotnie interwenjować osobiście u Seydy, zwracając mu uwagę, iż dalsze zwlekanie wpłynie również i na stanowisko Włoch w sprawach, obchodzących Polskę, a zwłaszcza w sprawie Jaworzyny i kandydatury Skirmunta do Rady Ligi Narodów". Takie oświadczenie jest już czemś więcej, niż niedyskrecją dyplomaty...

„Odrodzenie Polski" jest dokumentem pierwszorzędnego znaczenia. Zawodowi politycy nasi ocenią zapewne te lub owe przesłanki p. Thomasiniego i sprostują niejeden jego wniosek ogólny. Każdy jednak obywatel polski, którego interesuje budowa własnego państwa, odczyta z wielką uwagą tę polityczną historję pierwszego pięciolecia naszej niepodległości, bo dowie się, jak bardzo korzystały inne państwa z momentów naszej słabości i rozproszenia sił w jałowych walkach i zaciekłościach partyjnych.

Jan Lorentowicz.

Ś. † P.

KAZIMIERZ KAMIŃSKI

Nad grobem wielkiego aktora niepodobna oprzeć się bolesnemu uświadomieniu, że wraz z nim schodzi ze świata bezpowrotnie dzieło całego jego życia, o którem pamięć pozostanie żywa tylko w tych, którzy sami go **widzieli**. Zdobycze techniczne doby ostatniej, utrwalające dla potomności w stopniu bardzo już zbliżonym do rzeczywistości artyzm i wirtuozerję innych artystów odtwórczych: gramofon, duo-art, ratujące dla przyszłości pewne bardzo jednak żywe i bezpośrednie wrażenie głosu śpiewaków i śpiewaczek i doskonałości skrzypków i pianistów, nie potrafią wyrwać bezlitosnej niepamięci wielkiej sztuki aktora. Film odda gest i mimikę, gramofon — głos, lecz wyrazu i wrażenia nierozerwalnej całości nie dozna nikt, kto sam nie słyszał i nie widział. Ten zaś, choć pamiętać będzie wdzięcznie wrażenia doznane, również ich innym przekazać nie potrafi — i tak wraz z pokoleniem współczesnem umierają na zawsze wielcy mistrze sztuki aktorskiej, których nazwiska, jak Talmy i Rachel, jak Sonnenthala i Kainza, jak Żółkowskiego i Modrzejewskiej, pozostają dla potomnych zaledwie uchwytnym symbolem, tak, jak nim pozostali również Patti, Paganini i Ant. Rubinstein lub Liszt, jako pianiści. To czyni z aktorów postacie tragiczne.

Dla nas, którzy widzieliśmy i słyszeli Kazimierza Kamińskiego, którzy z zapartym oddechem, z płomieniem na twarzy i ogniem w oczach śledziliśmy cuda jego niewyczerpanej inwencji, bogatej techniki, głębokiej i subtelnej inteligencji, którzy z zapałem i frenezją oklaskiwaliśmy Go, porwani wdziękiem, urokiem i głębią Jego kreacyj, olśniewającym przepychem Jego przemian, mistrzostwem panowania nad głosem, gestem, miną, wyrazem, będącemi na usługach Jego wielkiego talentu — dla nas wraz z Nim schodzi do grobu wielki artysta, który zdołał utrwalić się nazawsze w naszem wspomnieniu.

Dla nas więc nie umarł. Umrze dopiero razem z nami. **emb.**

Pieśń nad otchłanią

(O POEZJACH MARJI GROSSEK-KORYCKIEJ).

Korycka widzi współpracę ludzkości z tym Bogiem, co „z tworzywa Chaosu kształt swój nieustająco dobywa"

a my Twoim objęci globusem
jak ziarna w owocu granatu

w Tobie przez nieskończoność gradusem...

Im dalej ku końcowi tomu, tem olbrzymieje patos dobytego przez poetkę dźwięku, Sonaty wypełniające drugą połowę książki, są jak piętra nabudowane jedno na drugie, coraz wyżej. Trzebaby o nich napisać cały szkic krytyczny, aby przetrzebić i wytłumaczyć ich głębię.

Oto „Pawie pióra" (włączone potem w „Pamiętnik liryczny") zawarły w sobie jej wielki sen, legendę jej życia, wszystkie jej porywy zmieszane z poezją, pięknem, niebem. Jak paw ogromny stąpa nad nią ta legenda, rozlana w niebo gwiaździste.

Podniosłam głowę, nademną wysoko
wszędzie obecne prawie skrzydło granatowe,
w jedno przy drugiem, gwiezdne, płomieniejące oka.

Oto sonata II-ga, gdzie spotykają się Fides i Magna, dwie tytanki cierpienia. Przewagą bólu Magna uwalnia Fides, pięciowiekową płaczkę nad trumną, z jej jarzma. Sonatę tę kończy istna powódź wyobraźni pełna „dętych djamentów", „dydelfów skrzydlatych", domów „dzianych przezroczo z białego filigranu"; tu przejawia się cała świetność słowa poetki:

Królestwo Magny widać z wszystkich miejsc na świecie
Opasujące ziemię ponad horyzontem —
Jej pałace z porfiru, kryte złotym gontem
Niosą płynące góry na liljowym grzbiecie.

„Zaduszne oratorjum" odsłania nam dalej jeszcze w głąb mistrzostwo skojarzeń poetyckich wsparte niezrównanem odczuciem muzycznem (na formach muzycznych buduje często Korycka utwory swoje).

Już jesień ustawiła organ szklannostruny
O burą wsparłszy chmurę złoty gzygzak ramy.
...Wraz tłumne drzew chorały otwierają gardła
Siekąc po strun krysztale złoconemi berły...

Korycka wie, że

są kształty przeniesione wszystkie w rejestr dźwięku

one to

Fosforyzują w losów wplątane witraże
Na rytmicznym potoku akompanjamentów
I tu powstaje potężna wizja Stwórcy...
Wir jakiś precz mu wszystko porywa z pod dłoni
On ócz wytęża słońca, bark pręży muskuły
By wydrzeć chaosowi choć jeden kształt czuły,
I przechylony w otchłań — garściami n i c goni.

Lecz ściga go straszliwa fatalność rozpętanego dzieła:

On, co wszystko dać może... trwania nie potrafi.
Pieśń tylko obok niego ma drugi byt: widma.
W niej wszystko jest... co stworzył gdziekolwiek przed laty.
Gra ją płacząc — a potem wściekły kopie światy
Tak sam jeden — samotny trwa — a wkoło wydma.

Odtąd już każdy wiersz jest arcytworem. Zarówno *„Zaklęcie"*, jak *„Koło tortury"* („koło tortury obrót wszystkich scen ponawia"), *„Śnieg"* i *„Czarna plama"*, plama odwiecznej zgrozy, ponurej, ślepej zagadki wszechświata, którą poetka — dostrzegając wszędzie czuje na sobie, tak jak na oku, które plamę odciśniętego na niem niebacznie słońca rzuca na każdy przedmiot.

Oko we łzach rzecze więc: Królewno
W sobie obacz, w sobie teraz sama.
Na tobie to jest napewno,
Jest na tobie c z a r n a p l a m a.

Tom zamyka wiersz „Skrzydła moje mdleją", jak finał serca znużonego lotem nad otchłanią.

IV.

Na przedłużeniu tego rzutu w przestrzeń rozbudował się „Pamiętnik liryczny", wydany już po śmierci autorki. Nie wiem na czem oparto układ jego, dobór wierszy i ich kolejne rozmieszczenie w tomiku. To ostatnie nie zawsze jest szczęśliwe, uważam to jednak za rzecz nieistotną i nie chcę się przy tem zatrzymywać dłużej. Nie będę też roztrząsał całokształtu myślowego zawartej w nim treści, tembardziej, że nie jest on tak zwięzły i jednolity, jak poprzedni. Jak zwykle wydanie pośmiertne, w którem zestawia się bez twórczego współudziału autora wiersze z rozmaitego okresu i tworzywa, byleby pomieścić w nich wszystko co wydawcom zdaje się w spuściźnie zmarłego najlepsze.

A więc na wstępie znów inkantacja z poprzedniego tomu *„Orzeł oślepły"*. Potem sonety, istne perły liryczne, w których wybuch potężnego uczucia zlewa się w jedno z niewysłowioną prostotą i swobodą formy. Na pierwszem miejscu postawiłbym tu *„Panteon"*, tę rotundę otwartą ku niebu, z której *„wiatr niesie szept, zerwany z ust prosto na gwiazdy"*. *„Czarny gołąb"*, co *„usiadłszy na okiennej przyźbie — zaszlochiwał się czegoś nad senną ulicą"*, *„Gwiazdy"*, wiersz na którego cięciwie drży znowu ta napowietrzna, kosmiczna nuta.

I wyjdą patrzeć na swój królewski krużganek
Gwiazdy, prawdziwe świata tego gospodynie,
...Tam ostrzem w cel wrażone i urwane w próżni
Wiszą wzroki tych wszystkich ócz, których już niema.

W sonetach tych, podobnie jak i w *„Glorji róż"*, *„Chwili"*, w *„Krzywem zwierciadle"* daje się zauważyć prawdziwy kunszt słowa, którem poetka jak lancą nawskroś przebija najzawilsze przekroje zjawisk, umiejąc w przedziwnych, lapidarnych skrótach wypowiadać rozległe myśli, zręcznie wwiązane w ciasną kołysankę sonetu.

Oto jedna zwrotka z sonetu *„Kościół marjacki"*:

Ogień i pieśń mu bucha przez otwarte żebra,
Męczennik śpiewający na czerwonym ruszcie
Grozi, przeklina, błaga niebiosów: pomóżcie!
Sercem w dłoni wzniesionej trzęsąc szlochu srebra...

Po utworach tak świetnych, jak *„Oczy"*, *„Filomena"*, *„Tęsknota"* — mniejszem przejmują wzruszeniem *„Ballady Mistyczne"*, prócz jednej *„Zaczarowanej wstęgi"*. Lecz *grzbiet mistrza dźwiga się znów w burzliwych* kompozycjach jak *„Agitato"*, *„Wicher"*, *„Patetica: Piorun"* i *„Dolce maestoso: Deszcz"*, aby wreszcie wezbrać uniesieniem i pieśnią we wspomnianych już wyżej, a włączonych tu z poprzedniego zbioru *„Pawich Piórach"*.

Szósty i ostatni ustęp tego poematu jest kapitalnym finałem tomu, coś jak *„cadenza ad libitum"*. Jest w nim dech Boga i wieczności, pochmurny i chłodny. Nadaje całej książce podgwiezdną, ostrokończystą, iście gotycką strzelistość. Czytając go, ma się uczucie wspinania na bezgraniczną wysokość, gdzieś aż w sedno niebios.

To ona, wielka poszukiwaczka Boga wdarła się aż tutaj i zawisła *„nad chaosu wydmą"* w poczuciu ogromu swego i zuchwalstwa i stanęła tu jak na stopniach przynależnego jej tronu.

Zdawnam czuła, że trzeszczą tronu mego schody
Pod jakimś zgoła innym, niż ptasim ciężarem,
Krok jakiś cechowany stóp inszych wymiarem
Dążył z ziemi do mojej pustynnej gospody.
Idzie ku niej oto ktoś z pawiem piórem
z kroplą krwi na ostrzu tem... którem się pisze.
To Sen mój!... stary wierny mój Sen, aż tu przyszedł.

Z tych niebosiężnych wyżów niedaleko już było poetce do nieba. Na wichrze swym kołyszącym złote oka gwiazd, jak na niezmiernem pawiem piórze uniósł ją, porwał ku sobie sam Bóg, z którym zdawna już zawarła Święte Przymierze.

Jerzy Braun.

* * *

Marja Grossek - Korycka — O r z e ł o ś l e p ł y — Kraków — Gebethner i S-ka.

Marja Grossek-Korycka — P a m i ę t n i k l i r y c z n y — Warszawa 1928 — F. Heosick.

Marja Grossek-Korycka — Ś w i a t K o b i e c y — Warszawa 1928 — Bluszcz.

Marja Grossek-Korycka — M e d y t a c j e t. I i II — Warszawa — Gebethner i S-ka.

Teatry Warszawskie

(Teatr Polski: „Tamten", dramat Gabrjeli Zapolskiej. — **Teatr Mały: „Kochanek pani Vidal",** komedja L. Verneuil'a. — Otwarcie **sezonu w Qui pro Quo).**

Sceny warszawskie żyją teraz pod znakiem starych sztuk polskich, wznawianych z rozmaitą dozą racji i granych z rozmaitem powodzeniem. Obok niepotrzebnego „Wesela Fonsia" widzieliśmy kapitalne „Szczęście Frania", potem zaś przyszła kolej na Zapolską, która zapewne obróciła się trochę w grobie, jeżeli duch jej był obecny na przedstawieniu „Małki Szwarcenkopf" w „Nowościach", ale za to znalazła sowitą rekompensatę w wykonaniu „Tamtego" na deskach Teatru Polskiego.

Był to bowiem rzetelny sukces, zarówno w samym pomyśle wznowienia sztuki, jak w jego realizacji. Co do pierwszej sprawy, rozwinęła się w Warszawie w okresie premjery „Tamtego" dość ożywiona dyskusja na temat racji wznowienia tego jakże niedzisiejszego dramatu. Tu należy stwierdzić, że pojęcia „przestarzałości" mocno się dziś nadużywa. Moda rzucania do lamusa wszystkiego, co „przedwojenne", przeradza się w pewien niemiły snobizm artystyczny. Trzeba zachować słuszną miarę w tym banalnym już obecnie prądzie „przewartościowywania wartości", o którem paple w salonie pierwsza lepsza gąska, bo to jest „w dobrym tonie". O Janie Nepomucenie, srogą ponosisz karę za twe antymickiewiczowskie bluźnierstwa...

Jeżeli chodzi o „Tamtego", zapewne że inaczej się dzisiaj patrzymy na owe specyficzne konwentykle młodzieży, na których czytywano Ibsena i Maeterlincka, ba — nawet krytyczniej oceniamy rodzaj bohaterstwa patrjotycznego tej młodzieży, niż w czasach powstania dramatu Zapolskiej. Tak, to prawda. Ale dobra sztuka pozostaje dobrą sztuką i wartościowym dokumentem epoki — to jedno. Ale była i druga racja, uzasadniająca wznowienie „Tamtego", już nie artystyczna, lecz narodowo-społeczna (a o takich racjach wolno mówić dzisiaj, po śmierci hasła „sztuka dla sztuki"): oto dobrze jest przypominać społeczeństwu polskiemu, tak skwapliwie wyrzekającemu na współczesną rzeczywistość, stan rzeczy z przed laty zaledwie kilkunastu, o którym zbyt łatwo zapominamy. Takie zestawienie niewoli z niepodległością spełnia rolę silnej odtrutki dla organizmu narodowego, zakażonego infekcją jałowego pesymizmu.

Doskonale teatralny, jak zwykle u Zapolskiej, dramat ten obfituje w szereg figur arcyciekawych zarówno z punktu widzenia psychologicznego, jak aktorskiego. W grupie moskiewskiej interesują nas rozmaite stopnie upodlenia tych ludzi, począwszy od kompletnego bydlęcia, jakiem jest szpieg Striełkow (zagrany z rozmachem przez Leszczyńskiego), poprzez tępego gen. Horna, w którym człowieczeństwo drzemie snem sprawiedliwego (mistrzowsko uchwycił postać tę Samborski) aż do pułkownika Korniłowa, niby to żołnierza „sans peur et sans reproche", ale przecie zbydlęconego funkcją carskiego szpicla: Junosza-Stępowski był w tej roli wspaniały i wstrząsający, wydobywając raczej lwie rysy Korniłowa, niż lisie, które ongiś podkreślił w swej niezapomnianej kreacji ś. p. Kamiński. A obok Moskali — Polacy: ludzie, nadludzie i... podludzie. Bohaterską Annę, trochę konwencjonalny i niewdzięczny dla aktora typ męczeńskiej dziewicy polskiej, zagrała dobrze Pancewicz-Leszczyńska, której sekundował partner jej, Maliszewski (Kazimierz). Restauratorkę Matałkowską i kelnerkę Józię — owych „podludzi" — odtworzyły wzorowo Munclingerowa i Romanówna.

Całość spektaklu wypadła bardzo dobrze i wywarła naprawdę duże wrażenie na widowni.

* * *

„Kochanek pani Vidal", to jedna z tych t. zw. „lekkich komedyj francuskich", które nicości swej usiłują przydać wagi przez zaopatrzenie się w istotny czy pozorny problem psychologiczny. Problemem tym ma tu być charakter bohaterki, której brak tego zasadniczego warunku zdrowego rozsądku, jakim jest pewna elementarna metoda myślenia. Pani Vidal myśli o stu rzeczach równocześnie, a o jednej z nich zgodnie z prawami logiki: w rezultacie dochodzi do konkluzyj dosyć osobliwych, które w naszej komedji przybrały kształt... rogów na szlachetnej głowie pana Vidal'a.

Na podstawie bowiem jej tylko właściwych przesłanek piękna bohaterka p. Verneuil'a doszła do wniosku, że mąż ją zdradza. Obrażona duma — chęć zemsty — kochanek: najpierw pozorny, bo „wynajęty" ad hoc dla ostentacji, potem prawdziwy. Akt trzeci: wyjaśnienie omyłki — żona w objęciach męża, kochanek w ramionach narzeczonej — kurtyna.

Komedja jest z początku przeraźliwie nudna, zanim autor zmontuje swą machinę do zawiązania intrygi. Nudę tę ma wypełniać zapoznawanie nas z charakterem bohaterki. Grała ją p. Kamińska, która niewątpliwie dobrze utrafiła typ narwanej gąski, o jaki chodziło autorowi, i może właśnie dlatego działała chwilami na nerwy. Nudę rozproszyło dopiero ukazanie się na scenie Maszyńskiego: jako kochanek pani Vidal, który w roli zakontraktowanego figuranta przechodzi na prawa bardziej istotne, był arcyzabawny, a jego zdobywczy komizm podbił całą widownię. On też uratował tę słabą sztukę.

* * *

Ma słuszność Jarosy, że **Qui Pro Quo** może znajdować zwolenników tylko wśród ludzi inteligentnych. Możnaby nawet powiedzieć z kartezjuszowska: „myślę, więc podoba mi się Qui Pro Quo"...

Takie refleksje przychodziły mi do głowy, gdym oglądał wznowioną na początek wiosenną rewję p. t. „Krewni z Q. P. Q.", podziwiając starych i kochanych znajomych: Ordonkę, Krukowskiego, Jarosy'ego, Nobisównę, Lawińskiego i innych. Właściwe otwarcie sezonu nastąpi w drugiej połowie września i, jak utrzymują wtajemniczeni, będzie to coś, czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało...

Ignacy Wieniewski.

Książki,

PAŃSTWO WSPÓŁCZESNE.

Dr. Antoni Peretiatkowicz — **P a ń s t w o W s p ó ł c z e s n e** — Wydanie szóste, przejrzane i rozszerzone. Książnica-Atlas, Lwów. Str. 194.

Oto tytuły ważniejszych rozdziałów tej książki: Pojęcie państwa i teorje państwowe, Absolutyzm i konstytucjonalizm, Ustrój parlamentarny, Monarcha i Prezydent, Prawa wolnościowe, Funkcje państwowe, Federacja, autonomja, samorząd.

Oprócz tych zasadniczych wiadomości, podanych w formie bardzo przystępnej i w wykładzie łatwo zrozumiałym, książka zawiera jeszcze następujące rodziały: Ustrój polityczny Anglji, Ustrój polityczny Francji, Ustrój polityczny Niemiec, Ustrój polityczny Stanów Zjednoczonych, Ustrój polityczny Rosji sowieckiej, Konstytucja polska. W tym ostatnim rozdziale omówiony jest stan prawny wszystkich ważniejszych zagadnień polskich, jak: sprawa wileńska, sprawa Śląska, Wolne Miasto Gdańsk itp.

Opracowana przez znakomitego prawnika, jakim jest prof. Peretiatkiewicz, książka ta stanowi nieoceniony podręcznik dla każdego obywatela, interesującego się zagadnieniami państwa i ustroju państwowego. Nic też dziwnego, że pięć wydań zostało rozchwytanych. Takiem samem powodzeniem cieszyć się będzie zapewne i obecne szóste wydanie, jako skarbnica wiadomości konkretnych i podstawowych.

INWESTYCJE I KREDYT.

Ministerstwo Przemysłu i Handlu — „Inwestycje, kredyt, konsumpcja, eksport, żegluga" — obrady gospodarcze, odbyte dnia 22 i 23 lutego 1928 r. w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Nakład Ministerstwa Przemysłu i Handlu w Warszawie.

Z iście zdumiewającą skrupulatnością przestrzega rząd obecny zasady jawności we wszystkiem, co ma związek z polityką gospodarczą. Przy każdej naradzie, przy każdej konferencji są stenografowie, którzy sumiennie notują każde wypowiedziane słowo, a następnie stenogramy te są drukowane i wydawane w formie książkowej. Istnieje już dzisiaj pokaźna bibljoteka takich książek i znaleźć można w nich niezwykle interesujące rzeczy, a przedewszystkiem można dowiedzieć się z tych książek, że ze strony sfer gospodarczych powiedziane zostało rządowi wszystko, co tylko można było powiedzieć o potrzebach i postulatach naszego życia gospodarczego i pzedstawione zostały niezliczone wnioski. Niestety nigdzie nie powiedziano jak daleće postulaty te i wnioski wzięte zostały pod uwagę.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Na marginesie sprawozdania p. Dewey'a

W ostatniem swojem sprawozdaniu (za II kwartał 1928 r.) p. Ch. S. Dewey w rozdziale, omawiającym bilans handlowy, ustanawia tezę następującą:

„wiele artykułów, sprowadzanych obecnie z zagranicy, które w sumie ogólnej równają się prawie ujemnemu saldu bilansu handlowego, mogłoby być w gruncie rzeczy wyprodukowanych w kraju. Wytwarzanie ich w kraju stanowi prostą drogę do zrównoważenia bilansu handlowego wraz z perspektywą dodatniego kształtowania się handlu zagranicznego.“

Wychodząc z tego założenia doradca finansowy stwierdza, że wartość przywiezionych w r. 1927 skór surowych i półwyprawionych stanowi 40 proc. całego salda ujemnego za ten rok, wartość zaś przywiezionych tkanin bawełnianych i przędzy bawełnianej i wełnianej — 37 proc. tego salda.

(Co do tej ostatniej cyfry powiedziano w polskim przekładzie sprawozdania dosłownie: *„która to suma, po odtrąceniu wartości surowca, wynosi 37% ujemnego salda bilansu handlowego w tym roku“*. Jest w tem omyłka, gdyż wartość wymienionych artykułów we fr. zł. według G. U. S. wynosiła łącznie: 83.164.000, a saldo ujemne 221.151.000, czyli że rzeczony przywóz stanowił ok. 37 proc. *bez potrącenia wartości surowca*).

Zatem p. Dewey poprostu uzasadnia swą tezę przykładami — i można się z tem zgodzić, że jest w tem pewna czysto-teoretyczna słuszność, ale tylko i bardzo teoretyczna. Bo gdyby Polska w szeregu poszczególnych dziedzin przestała być interesującym importerem, to nie mogłoby się to przy dzisiejszym układzie warunków odbić i na jej eksporcie, a wtedy znowu saldo ujemne wzrastałoby z innych przyczyn.

Ujęcie sprawy przez p. Dewey'a jest tak swoiste, że żaden z czytelników tego oderwanego tylko ustępu sprawozdania jego nie mógł nie postawić sobie zapytania: dlaczego wytrawny ten statystyk wyprowadza stosunek przywozu wyrobów i półproduktów włóknistych do salda ujemnego, czyli do sumy zgoła przypadkowej? Dlaczego nie wykazuje raczej stosunku przywozu tych wyrobów i półproduktów do ogólnego przywozu dla wykazania miejsca, jakie w nim zajmuje? Dlaczego, mówiąc o roli przywozu włókienniczego w saldzie ujemnem, nie odejmuje od sum przywozu sum wywozu? Dlaczego, omawiając rolę włókiennictwa w bilansie handlowym, wspomina tylko o przywozie fabrykatów, a pomija surowiec?

Odpowiedź na te pytania jest prosta: nie wolno wyrywać tego odosobnionego ustępu sprawozdania z całości, z którą jest logicznie nierozłącznie związany, bo wyrwany z niej traci wszelki sens i rację, którą mu nadaje tylko i jedynie jego charakter jednego z przykładów, uzasadniających tezę naczelną.

Tego oczywiście nie chciała, lub też nie umiała należycie zrozumieć znaczna część prasy zarówno krajowej, jak i zagranicznej, która zamknąwszy oczy na przesłanki, wyrywa tylko wniosek i wysnuwa z niego z wielką lubością swe indywidualne konsekwencje: krajowa ze zwykłą animozją, zagraniczna — z zacieraniem rąk nad rozpaczliwym stanem przemysłu polskiego. Imputuje się przytem p. Dewey'owi słowa, których nie wypowiedział. Tak więc czytaliśmy już w prasie stołecznej, że doradca podkreślił niezrozumiałe wprost niedołęstwo kierowników naszych organizacyj przemysłowych, a w berlińskiej, że przypisuje on zły stan rzeczy chaotycznej i bezplanowej gospodarce, a zwłaszcza przestarzałym metodom produkcji, stosowanym w polskim przemyśle włókienniczym. *)

Prawdą jest natomiast tylko, że p. Dewey wyraził pogląd, iż „znaczne oszczędności mogłyby być dokonane i niewątpliwie dokonane zostaną, gdy przemysłowcy branży włókienniczej docenią konieczność lepszego zrozumienia wymagań ich odbiorców“.

Tu już istotnie mamy do czynienia z zarzutem bezpośrednim. Czy jednak uzasadnionym?

*) Tego p. Dewey nie mógł powiedzieć, bo osobiście zakłady przemysłowo-włókiennicze zwiedził. A kto je raz widział, ten stwierdzał zawsze, że stoją na najwyższym poziomie pod względem organizacji technicznej. Wiedzieli o tem i niemcy, gdy usiłowali zrujnować przemysł włókienniczy polski nazawsze. Nawet przedstawiciel angielskiej Labour-Party potwierdził szczerze, że widzi w Polsce fabryki daleko lepiej urządzone aniżeli w Anglji. Tylko więc albo zawiść albo złośliwość zasadnicza mogą blamować się twierdzeniem o zastarzałości urządzeń włókienniczych polskich.

Pierwszą odpowiedź na to pytanie niechaj dadzą cyfry, wykazujące kształtowanie się przywozu w szeregu lat ostatnich:

tkaniny bawełniane:		
1924 —	przywieziono	4915 t.
1925 —	„	5060 t.
1926 —	„	977 t.
1927 —	„	1561 t.
tkaniny wełniane:		
1924 —	przywieziono	935 t.
1925 —	„	675 t.
1926 —	„	321 t.
1927 —	„	556 t.
wyroby dziane:		
1924 —	przywieziono	819 t.
1925 —	„	592 t.
1926 —	„	194 t.
1927 —	„	230 t.

Gdybyśmy nawet wykreślili z zestawień powyższych cyfry, dotyczące roku 1926, jako szczególnie niemiarodajnego ze względu na ciężkie przesilenie w I-szem półroczu, osłabienie zaufania dostawców zagranicznych i ostre jeszcze działanie ograniczeń reglementacyjnych — to i wtedy jeszcze, mimo wielkiej poprawy konjunktur w roku 1927, silnie spadająca linja przywozu, przy wzrastającej stale produkcji, świadczy wymownie o czemś wprost przeciwnem, aniżeli niedostateczne zrozumienie wymagań odbiorców. Wiadomo każdemu, obeznanemu bliżej z przemysłem włókienniczym, że *nie może ukazać się na rynku tkanina zagraniczna, którejby przemysł nie uchwycił niezwłocznie i nie wykonał sam*, o ile tylko widzi jej przystosowanie do wymagań rynku. Jeżeli mimo to nie wytwarza *wszystkiego*, co rynek pochłonąć może, to nietyle dla względów klimatycznych, jak twierdzi p. Dewey, ile raczej dlatego, że *nieznaczne relatywnie ilości poszczególnych gatunków, jakie znaleźć mogą zbyt na rynku wewnętrznym, czynią ich produkcję nieopłacalną*, bo przy masowej produkcji zagranicznej muszą z natury rzeczy być znacznie tańsze, aniżeli mogłyby być u nas.

Że zaś naogół mamy w przywozie do czynienia z gatunkami wyższemi, to wynika również z urzędowych cyfr statystycznych:

Gdy bowiem wartość 1 kg. tkaniny przywożonej G. U. S. ocenia w roku 1927 na zł. 13.6, wartość 1 kg. w wywozie wynosi zaledwie 5.5 zł. Jeszcze jaskrawszy stosunek zachodzi w roku 1928, w którym 1 kg. tkaniny przywiezionej oceniony jest na zł. 26.2, wywiezionej zaś na 10.8 zł.

Tak samo jest w przędzy bawełnianej, w której wartość jednostki wagi przywiezionej do wywiezionej wyraża się w r. 1927 w stosunku 8:4, a w 1928 w stosunku 17.2:6.

Wynika z tego niedwuznacznie, że przywóz obejmuje w znacznej mierze gatunki wyższe, wcale lub mało w kraju wytwarzane, t. j. takie, w których *zapotrzebowanie rynku nie stwarza dostatecznych podstaw dla podjęcia produkcji.*

Nie znaczy to, że nie przywozi się nic z wyrobów, w kraju również wytwarzanych. Owszem. Ale to nie dlatego, że przemysł polski niedość trafnie ocenia wymagania odbiorców, ale dlatego, że często nie potrafi i nie jest w stanie podążyć dla tysiącą powodów za kalkulacją i warunkami kredytowemi swego konkurenta zagranicznego. Nie jest to zresztą bynajmniej objawem odosobnionym, ani specyficznie polskim. Czy Niemcy nie przywożą tkanin angielskich i francuskich, lub samochodów amerykańskich, czy Francja nie importuje haftów szwajcarskich i kapeluszy wiedeńskich, a Anglja galanterji austrjackiej, lub maszyn niemieckich? I czy dlatego ktokolwiek orzekł, że przemysłowcy tych krajów nie oceniają należycie wymagań swych odbiorców?

Jeżeli więc p. Dewey twierdzi, że *„pozostaje jeszcze bardzo szerokie pole zapotrzebowania, dotychczas zaspakajane przez import, a które winna pokrywać produkcja krajowa“* — i ma w tem pewną słuszność, to jednak żadną miarą nie można winy za to składać na wytwórcę, gdyż o wiele większą winę ponosi i ogólny pęd nabywców do towaru „zagranicznego“, i nasza polityka traktatowa, bez potrzeby obniżająca niskie już barjery celne.

Wyrwane z całości i związku cyfry, przytoczone przez p. Dewey'a nie mogą nie prowadzić do wniosków opacznych. Gdy widzi się liczbę 37 procent, wyrażającą stosunek przywozu wyrobów włóknistych, to zapomina się o podstawie, do której stosunek ten jest wprowadzony i zachowuje w pamięci tylko bardzo wysoką stopę odsetka. Tymczasem zaś całkowity przywóz wyrobów i półproduktów wełnianych i bawełnianych wynosił 5,4 procent ogólnego przywozu w roku 1927, zaś saldo obrotów z zagranicą w tej dziedzinie, t. j. różnica między przywozem, a wywozem stanowiło *tylko 13.7 proc. ogólnego salda ujemnego*, a jeżeli doliczyć jeszcze wywóz worków i tkanin jutowych (nie przywożonych wcale), to stosunek ten wyraża się *tylko w stopie 12.2 proc.*

Inną jest rzeczą, że całkowity przywóz włókienniczy, t. j. z włączeniem doń i surowców, waży poważnie na ogólnej sumie importu — to jednak jest konieczność nieunikniona, a przytem również niepozbawiona wydatnych korzyści, bo przywóz całości zapotrzebowania rynku polskiego w postaci wyrobów gotowych znakomicie ujemniej jeszczeby na wyniki bilansu handlowego oddziaływał.

Informatorzy publiczni, czerpiący natchnienie ze sprawozdania p. Dewey'a, nie wspominają też nic o jego zaleceniach bardzo zasadniczych:

„Najlepsze rezultaty mogą być osiągnięte przez zwiększoną produkcję... według bardziej wydatnych metod... Należy uczynić trochę wysiłków w celu zastosowania tych metod w produkcji..., a im bardziej będzie wydajną produkcja, tem więcej kapitał zagraniczny będzie mógł się nią interesować“.

Dlaczegóż to o tym ustępie niema jakoś mowy w tej prasie która tak skwapliwie przedrukowała lub persiflowała wzmiankę o przemyśle włókienniczym?

Przecież byłby to wdzięczny temat do rozważań, gdzie leży źródło zła. Przemysł wogóle, a zwłaszcza włókienniczy, nie miałby powodu do obawiania się tej dyskusji.

M. B.

„Pepege” jako dostawca przędzy

W pierwszym tygodniu bieżącego miesiąca otrzymaliśmy od Spółki Akcyjnej „Pepege“ w Grudziądzu obszerne pismo, wyjaśniające sprawę przywozu przędzy zagranicznej przez tę firmę w związku ze wzmianką w Nr. 33 „Prawdy“ p. t. „P. P. G. jako dostawca przędzy“. Nie mogąc dla względów technicznych z powodu zbyt późnego otrzymania zamieścić listu tego w ostatnim numerze naszego pisma, zawiadomiliśmy zainteresowaną firmę, iż list jej zamieścimy w numerze niniejszym. Ponieważ jednak mimo to „Pepege“ ogłosił list swój w dniu 9 b. m. na łamach „Republiki“ łódzkiej, uważamy się za zwolnionych od obowiązku przytaczania go in extenso i poprzestajemy na jego streszczeniu.

Zatem „Pepege“ w okresie od kwietnia 1926 r. do maja r. b. przerobił na własnych warsztatach ogółem powyżej 56,000 kg przędzy bawełnianej różnych numerów, niezależnie zaś od tego zakupił u dostawców krajowych przeszło 200,000 kg. różnych wyrobów dzianych. W okresie od kwietnia do września 1926 r. „Pepege“ zakupywał przędzę bawełnianą wyłącznie zagranicą za opłatą pełnego cła, gdyż przędza ta nawet łącznie z cłem kalkulowała się o 10—12 proc. taniej, aniżeli krajowa, przyczem dostawcy zagraniczni udzielali lepszych warunków płatności. Jednakże w ostatnim czasie, mianowicie od połowy lutego r. b., „Pepege“ przędzy zagranicznej więcej nie sprowadza, gdyż otrzymuje przędzę polską na warunkach konkurencyjnych. Co do przędzy sprzedanej rzekomo na rynku łódzkim, to „Pepege“ wyjaśnia, że chodzi tu tylko o 3,600 kg. przędzy pewnych numerów, która przestała mu być potrzebna ze względu na zaniechanie wyrobu, dla którego była przeznaczona. Owa ilość 3,600 kg. w dodatku nie została przez „Pepege“ sprzedana na rynku, lecz dostarczona jednej z wytwórni wyrobów dzianych w drodze rozrachunku.

Obszerne wywody listu, dotyczące przywozu przędzy w trybie obrotu uszlachetniającego, sprowadzają się do tego, że przywozowi takiemu podlegała tylko przędza bawełniana i że w drodze reeksportu około 20,000 kg. wyrobów „Pepege“ zyskał na tem zaledwie około 20,000 zł. cła, co wobec wartości ogólnego eksportu tej firmy i rozmiarów jej produkcji jest sumą znikomo małą.

Końcowe ustępy listu obejmują zastrzeżenia przeciwko użytemu w naszej wzmiance wyrażeniu, że pozwolenie na przywóz w trybie obrotu uszlachetniającego zostało wydane w niewłaściwe ręce.

Chętnie podajemy do wiadomości czytelników „Prawdy“ treść wyjaśnień, udzielonych nam przez firmę „Pepege“, co uważamy za nakaz słuszności. Nie możemy jednak wyrzec się kilku słów omówienia ze swej strony, by w pierwszym rzędzie wypowiedzieć pogląd, iż różnica w cenie przędzy bawełnianej mimo zupełnej analogiczności numerów nie jest i nie może być uważana za argument dostateczny lub przekonywujący dlatego, że **współczynnikiem nie mniej decydującym, a raczej jedynie decydującym dla przeprowadzenia porównania jest oprócz ceny również gatunek przędzy.** Ze swej strony na mocy bogatego doświadczenia licznych importerów przędzy zagranicznej stwierdzić możemy, że różnice w cenie na niekorzyść przędzy polskiej w znakomitej większości wypadków nie dorównywały różnicy w gatunku. Najwymowniejszym dowodem tego jest zaniechanie przywozu przędzy zagranicznej w numerach, wytwarzanych w Polsce, przez bardzo wielką liczbę importerów, do których zresztą od lutego r. b. zalicza się również „Pepege“. Jeżeli „Pepege“ pod względem ceny zrobił złe doświadczenie w okresie od kwietnia do września 1926 r., to przypisać to możemy tylko i jedynie temu, że był to okres rozpoczynających się pomyślnych konjunktur dla wytwórczości krajowej, w którym wzrastające zapotrzebowanie wewnętrzne sprzyjało wyższemu poziomowi cen na wyroby krajowe, zaś zmniejszony ogólnie przywóz z zagranicy przeciwnie oddziaływał na daleko idące ustępstwa wytwórców zagranicznych.

Co do przywozu w obrocie uszlachetniającym, to „Pepege“ sam stwierdza brak dostatecznych podstaw dla zastosowania tego przywileju, skoro osiągniętą tym sposobem oszczędność na cle w wysokości 20,000 zł. nazywa „śmiesznie małą“. Właśnie dlatego, że jest śmiesznie mała i że również w znikomym tylko stopniu mogła była oddziaływać na cenę wywożonego wyrobu gotowego, uważaliśmy i uważamy w dalszym ciągu, że **pozwolenie nie powinno było być udzielone, skoro tak czy owak było połączone ze szkodą wytwórczości krajowej.** Należy postawić sobie zapytania: czy „Pepege“ byłby eksportował mniej, gdyby pozwolenia nie był uzyskał? Napewno nie. Czy przędzalnie krajowe byłyby w tym wypadku więcej sprzedały? Napewno tak. Te dwie odpowiedzi wyczerpują dostatecznie gospodarczą stronę zagadnienia.

Że „Pepege“ sprzedał, czy też odstąpił fabryce łódzkiej, co na jedno wychodzi, tylko 3,600 kg., jest oczywiście momentem o tyle ważnym, iż ta ilość w ogólnych obrotach łódzkich żadnej roli odegrać nie mogła. Nasze informacje były inne: **mówiono nam o 30,000 kg i o ofiarowaniu ich z różnych stron.** Być może, że właśnie ta okoliczność wpłynęła na stopniowe urastanie ilości ofiarowanych.

Wyjaśnienia „Pepege“ przyjęliśmy do wiadomości z zadowoleniem, jako dowód należytego zrozumienia naczelnych haseł solidaryzmu gospodarczego. Rozmiary i drobiazgowość wyjaśnień „P. P. G.“ świadczą dowodnie o tem, że firma ta należycie oceniła gospodarczą powagę poruszonej przez nas sprawy.

RACJONALIZACJA A ROBOTNICY.

W artykule p. t. „Czy racjonalizacja może uratować stare przemysły światowe“ pisze **Philipp Snowden,** znany przywódca angielskich robotników, w „Neue Freie Presse“ z dnia 27 lipca 1928 r. m. in.:

„Tania produkcja, uniknięcie marnotrawstwa, jakoteż dopięcie najwyższej wydajności pracy nie są do osiągnięcia bez czynnej współpracy robotników. Niektórzy przywódcy robotników **w małostkowem uprzedzeniu bronią się przeciw temu ruchowi.** Nie chcą się w tem niczego innego dopatrzeć, jak próby, tylko o swej korzyści myślących pracodawców, do wzmocnienia swego stanowiska wobec żądań wyższych płac i lepszych warunków ze strony robotników. **Stanowisko to dowodzi nieuctwa i ślepoty,** gdyż reprezentuje zapatrywanie, że sytuacja robotników kształtuje się tem korzystniej, im mniej wydajnym i nieekonomicznym jest przemysł. Jasnem jest, że **rzecz ma się wręcz przeciwnie.** Mało wydajny przemysł nie umożliwia ani wysokich płac, ani dobrych warunków. Ci przywódcy robotników jednak, którzy przyznają się do tych niezdrowych zapatrywań są reprezentowani w małej, **ciągle zmniejszającej się ilości**“.

Wobec żądań podwyżkowych w przemyśle włókienniczym

Jeden z zawodowych związków robotniczych łódzkich dla umotywowania zgłoszonego żądania podwyżki płac powołał się na zmniejszenie siły nabywczej naszej waluty, które przytem utożsamił ze spadkiem jej kursu.

W odpowiedzi na to dziennik łódzki „Republika" w artykule z dn. 12 b. m. p. t. „Fałszywy rachunek" należycie umotywowanemi argumentami wykazuje całą niesłuszność i bezpodstawność takiego postawienia sprawy i przenosi rozważania na teren porównania między wzrostem kosztów utrzymania w okresie od sierpnia 1924 r. do września r. b., a wzrostem płac faktycznych z racji osiągniętych w tym okresie przez robotników podwyżek.

Na podstawie rachunku tego autor artykułu dochodzi do przekonania, że wzrost kosztów utrzymania uzasadniałby podwyżkę 9-procentową, **niestety jednak i do tego rachunku zakradła się omyłka, a więc i wynik jego jest mylny.** Omyłka polega na tem, iż autor artykułu, prowadząc wyliczenia wzrostu kosztów utrzymania i wzrostu płac od sierpnia 1924 r., przeoczył w obliczeniu podwyżek płac z tego samego okresu 10-procentową podwyżkę, uzyskaną przez robotników na podstawie orzeczenia arbitrażowego prof. Bukowieckiego. Tak więc pierwszą podwyżką od sierpnia 1924 r. była nie 12-procentowa z dnia 5 lipca 1926 r., lecz 10-procentowa z grudnia 1924 r.

Wobec tego 100 zł. płacy z sierpnia 1924 roku wzrosło:

w grudniu 1924 r. (10 proc.) do 110,
w lipcu 1926 r. (12 proc.) do 123,2,
w październ. 1926 r. (5 proc.) do 129,36,
w marcu 1927 r. (8 proc.) do 139,71,
w czerwcu 1928 r. (6 proc.) do 148,1.

Ponieważ jednak autor artykułu prawidłowo wyliczył, że w kosztach utrzymania od sierpnia 1924 r. 100 zł. wzrosło do 146,3 zł. przeto nie byłby mógł dojść do wniosku o słuszności 9-procentowej podwyżki, jako wyrównaczej, gdyż **po odjęciu wskaźnika kosztów 146,3 od wskaźnika płac 148,1 byłby musiał stwierdzić, że przyrost płac w omawianym okresie był o 1,8 proc. większy, aniżeli wzrost kosztów utrzymania.**

SYSTEM KREDYTOWY FORDA.

Przed krótkim czasem założył Ford nową spółkę pod firmą **„Universal Credit Co."**, której zadaniem będzie w przyszłości finansowanie zbytu fabrykatów Forda. Instytucja, finansująca zbyt wyrobów General Motors Co. pod firmą „General Motors Acceptance Corporation" przyczyniła się w wysokim stopniu do szybkiego wzrostu najsilniejszego konkurenta Forda. Ford spodziewa się, że uda mu się obniżyć koszty kredytu. Równocześnie z udzieleniem kredytu przewiduje się jednoroczne ubezpieczenie zakupionych wozów od ognia i kradzieży. Do tego wyraźnie zaznacza się, że ubezpieczenie Forda, uwzględnia pełną wartość samochodu w przeciwieństwie do podobnych ubezpieczeń, które przy utracie wozów wypłacają tylko kwotę, należną jeszcze spółce finansującej, podczas gdy właściciel wozu wychodzi z próżnemi rękami. W związku z tem ogłoszeniem Ford zawiadamia, że chwilowa, dzienna produkcja wynosi 3500 wozów i że codzienny wzrost wynosi kilkaset sztuk. Ostatecznym celem jest dzienna produkcja 10,000 wozów, co jednak przy najkorzystniejszych warunkach trudno będzie osiągnąć przed 1930 rokiem.

BANK POLSKICH KUPCÓW I PRZEMYSŁOWCÓW CHRZEŚCIJAN W ŁODZI WZNAWIA SWE CZYNNOŚCI.

Dnia 1 września r. b. na nowo uruchamia swe agendy Bank Polskich Kupców i Przemysłowców Chrześcijan w Łodzi, Sp. Akc., Łódź, ul. Piotrkowska 113. Instytucja ta w chwili ogólnego kryzysu gospodarczego w r. 1925 zbyt pośpiesznie zwróciła się o nadzór sądowy, wynikiem czego nie mogła skorzystać z doraźnej pomocy, z którą rząd w krótkim czasie pośpieszył wszystkim pozostałym poważniejszym bankom.

Bank Polskich Kupców i Przemysłowców Chrześcijan z prawdziwem stoicyzmem jednak przebolał i przetrwał te najcięższe chwile swego istnienia i o własnych siłach, regulując należności wierzycielom całkowicie i z odsetkami, dźwignął się z miejsca, uzyskując zwolnienie z pod nadzoru sądowego.

Winniśmy wobec tego z prawdziwem uznaniem powitać uzdrowienie tej, opartej wyłącznie o kapitały rodzime, pożytecznej placówki społecznej, której niejeden kupiec i przemysłowiec zawdzięcza rozwój swego przedsiębiorstwa i życzyć jej dla dobra społeczeństwa i kraju jaknajpomyślniejszego rozwoju.

Polsko-angielska konkurencja węglowa

W czasie wielkiego strajku górników angielskich w licznych krajach bezwęglowych, zaopatrywanych od dziesiątek lat przez Anglję w ten produkt powstał katastrofalny brak węgla. Zaczęto więc gorączkowo szukać innych dostawców. Wówczas to po raz pierwszy *polski węgiel wtargnął na rynki światowe*, na rynki, zaopatrywane przedtem wyłącznie przez Anglję. Między innymi węgiel polski dostał się na *rynki skandynawskie*, do Szwecji i Norwegji. Polskie sfery przemysłu węglowego bardzo szybko zorjentowały się, jakie korzyści dałoby utrzymanie tych rynków także i po strajku angielskim. Półwysep skandynawski oddalony jest od Polski zaledwie *o 3 do 4 dni drogi morskiej* z Gdyni i Gdańska, jest przeto jednym z najbliższych dla nas rynków zagranicznych. Stały eksport węgla polskiego do Skandynawji, odbywając się drogą morską, zapewniłby ponadto stałe *zatrudnienie dla urządzeń portowych w Gdyni* i dałby impuls do tworzenia się *polskiej floty handlowej*.

Względy te, niezwykle ważne tak dla przemysłu węglowego polskiego jak i dla polskich czynników państwowych, niezmiernie żywo interesujących się sprawą organizacji polskiego handlu morskiego i rozwojem polskich portów morskich, spowodowały, iż nastąpiła *harmonijna współpraca sfer rządowych z organizacjami przemysłu węglowego*, mająca na celu utrzymanie także i po strajku angielskim rynków skandynawskich dla polskiego węgla. I istotnie dzięki tej współpracy, dzięki zrozumieniu przez czynniki rządowe doniosłości tego zagadnienia udało się to w bardzo dużej mierze. Rząd poszedł na rewizję taryf kolejowych dla transportów węglowych z zagłębia do Gdyni i Gdańska, a przemysł węglowy już w czasie strajku angielskiego starał się usilnie zadowolnić przedewszystkiem odbiorców skandynawskich. W tym celu bardzo często odrzucał nawet *najkorzystniejsze oferty okolicznościowych odbiorców*, a wykonywał na najprzystępniejszych warunkach zamówienia skandynawskie. Była to ze strony przemysłu w danej chwili duża ofiara, ale na dłuższą metę polityka rozsądna i przewidująca.

Po strajku Anglja starała się odzyskać swoje dawne rynki zbytu, a przedewszystkiem rynki skandynawskie, które także i dla przemysłu angielskiego posiadają wiele korzyści geograficznych. Napotkała tam jednak konkurencję polską, zdolną do utrzymania się. Wywołało to w opinji angielskiej objawy rozżalenia, któremu niejednokrotnie dała wyraz prasa angielska, oskarżając Polskę wręcz o politykę dumpingową na korzyść swego przemysłu węglowego, i zarzucając Polsce niesolidne metody konkurencyjne. Niektórzy z przywódców angielskiego przemysłu węglowego posuwali się prawie że do oszczerstw w stosunku do Polski.

Na jedno z takich gwałtownych wystąpień przeciw Polsce i polskiemu przemysłowi węglowemu ze strony *p. A. W. Archera*, prezesa jednej z najpotężniejszych angielskich organizacyj przemysłu węglowego, zareagował prezes Konwencji Węglowej Dąbrowsko-Krakowskiej, *p. P. B. Markiewicz*, publikując w prasie angielskiej artykuł prostujący twierdzenia p. Archera i wyjaśniający stanowisko polskiego przemysłu węglowego w sprawie rynków skandynawskich. Efekt wystąpienia p. Markiewicza był — jak na nasze stosunki i na nasze zwyczaje — nadzwyczajny. Pan Archer niezwłocznie zwrócił się do p. Markiewicza i wyraził chęć odwiedzenia Polski i zapoznania się na miejscu z polskim przemysłem węglowym. P. Markiewicz w odpowiedzi na to wystosował do p. Archera zaproszenie i wizyta doszła do skutku. Wzięło w niej udział — oprócz p. Archera — grono osobistości z angielskiego świata gospodarczego. Goście angielscy zwiedzili nasze kopalnie węglowe, saliny w Wieliczce, oraz nasze porty, dając wyraz swojemu zdumieniu nad tem, co oglądali i wyznając, że nie spodziewali się tego wszystkiego w Polsce oglądać.

Po powrocie do Anglji p. Archer stara się objektywnemi informacjami o Polsce i jej polityce gospodarczej uświadomić angielską opinję publiczną, że Polskę trzeba traktować poważnie. Poniżej przytaczamy kilka wyjątków z artykułu p. Archera, drukowanego w jednym z organów angielskiego przemysłu węglowego:

„...ważne jest, by W. Brytanja uświadomiła sobie, że ludzie, kierujący sprawami polskiemi zarówno politycznemi, jak i gospodarczemi, dobrze zaiste wiedzą, co czynią i niewiele mają do dowiedzenia się, na czem polega ich interes i jaka jest najlepsza metoda przeprowadzenia go".

„Polski przemysł węglowy jest znakomicie zorganizowany. Już obecnie przedsiębiorstwa węglowe prowadzą wspólną politykę utrzymywania cen w kraju i zagranicą i tylko ceny węgla, wywożonego morzem, traktowane są jako zagadnienie oddzielne. Odnośnie tego wywozu kopalnie korzystają z pomocy Rządu w postaci specjalnych taryf kolejowych i innych przywilejów, związanych z przewozem do Gdańska i Gdyni. Anglicy użalali się już z tego powodu wielokrotnie. Co do mnie, muszę przyznać, nigdy nie uznawałem trafności ani słuszności tych utyskiwań. Przemysł wszystkich krajów korzysta chętnie z udzielonych mu ulg. Czemużby nie miał korzystać? Zapewniano mnie jednak, że polskie koleje państwowe nie tracą na tych przewozach i że taryfa do Gdańska lub Gdyni nie daje niedoboru, ponieważ wiele wagonów, dowożących węgiel do portów, powraca do kraju z ładunkami towarów importowanych, w który to sposób zdobywa się ładunek dla kierunku powrotnego. Nie uważam, by to w poważniejszy sposób wpływało na stosunek nasz do Polski. Nie możemy kontrolować ani zmieniać jej polityki wewnętrznej. Tak czy owak jest to tylko jeden z wielu składników trudnej sytuacji, która, wydaje mi się, nie jest w W. Brytanji należycie rozumiana.

Oczywiście, każdy wie, że polski przywóz i wywóz wzrosły w ostatnich latach ogromnie. Powody tego wzrostu wymagają poważnych badań, siegają bowiem do głębi istoty polskiej polityki i handlu.

Aby dokładnie zrozumieć program polski, musielibyśmy pominąć absurdalne przypuszczenie, że Polska nie rachuje, albo że Polska może prowadzić politykę inną, niż tę, która, zdaniem jej, popiera jej interesy w kraju i zagranicą. Niekoniecznie potrzeba długo bawić w Polsce, by się przekonać, że Polacy są wielkimi patrjotami i gorliwie pragną wykazać, iż potrafią skutecznie i z powodzeniem kierować przemysłem i handlem swego kraju. Odnosi się to w szczególności do węgla".

„Na mocy Traktatu Pokoju Polska przejęła na Górnym Śląsku kopalnie węgla i inne. Stanowi to niezmiernie cenny nabytek. Złoża węgla w tem zagłębiu są o wiele i pod każdym względem lepsze niż złoża krakowskie i dąbrowskie. Jenak kopalnie obu zagłębi wyróżniają się dodatnio w porównaniu z naszemi pod względem położenia i urządzeń. Wykazują one większe wydobycie na głowę, niż kopalnie brytyjskie i ich koszty wydobycia są znacznie od naszych niższe. Sortowanie węgla polskiego jest wzorowe. Stara legenda, jakoby węgiel brytyjski potrafił utrzymać się zawsze na rynkach światowych dzięki wyższej swej wartości została obecnie obalona. Węgiel polski jest twardy, czysty i odpowiedni do szeregu celów, ładuje się znakomicie i ceniony jest przez nabywców. Poruszanie tych spraw nie jest jednak głównym moim zamiarem. Zależy mi raczej na wyświetleniu przyczyn, czyniących z Polski określony czynnik w europejskiej sytuacji węglowej, i wyjaśnieniu, że nie może ona być ignorowana albo lekceważona.

Polska jest państwem, które, jak wiadomo, przed niedawnym czasem odzyskało swą niepodległość i posiada poważną liczbę ludności, wynoszącą około 30 miljonów. Polacy są rasą płodną i ludność ich wzrasta o około 1 miljona głów rocznie. Kraj jest przeważnie rolniczy. Wytwarza węgiel, drzewo, ziemiopłody w rozmiarach, przekraczających własne jego potrzeby. Wschodnia połać Polski jest gospodarczo opóźniona. Posiada ilość kolei niedostateczną, mało ma fabryk i brak w niej domów murowanych".

„...Rząd polski czyni wszystko, by ułatwić naturalną ekspansję i, aprobując ostatnio zwyżkę cen węgla, zastrzegł, że nie będzie ona dotyczyła węgla dla kolei, przemysłu cementowego i innych pomocniczych przedsiębiorstw przemysłu budowlanego. Aby wykonać rozległe te zamierzenia, Polska, nie mając rud żelaznych i fabryk mechanicznych oraz chemicznych, musi z konieczności kupować zagranicą i płacić w funtach szterlingach. Specjalnie należy więc tu podkreślić, że wielki wywóz dla istnienia Polski jest konieczny. Nie może wywozić złota, bo go nie posiada. Nie ma też „niewidocznego" wywozu w postaci dochodu w inwestycyj zagranicą, a musi znaleźć poważne sumy na spłatę procentów od pożyczek zagranicznych, może więc zrównoważyć swój bilans handlowy tylko przez wywóz, którego najważniejszemi pozycjami są węgiel, drzewo i płody rolne.

Kopalnie polskie tracą, albo mają drobne tylko zyski i troska o przyszłość jest szeroko rozpowszechniona — lecz tutaj Polska znowu nie jest odosobniona. Polacy uważają, że jeżeli oni i Anglicy pogodzą się co do cen wywozowych, to położenie obu krajów znacznie się poprawi. Należy wszakże zaznaczyć, że cena jest tylko jednym ze składników porozumienia międzynarodowego. Ograniczenie albo regulowanie wytwórczości jest jego drugim składnikiem, conajmniej równym cenie, jeżeli nie ważniejszym. W każdym razie niektórzy z nas twierdzą, że ceny i regulowanie wytwórczości muszą być stosowane łącznie. Tutaj więc leży punkt ciężkości stanowiska polskiego. Polacy twierdzą, że ich interesy narodowe nie pozwalają im na wycofanie się z rynków zagranicznych, lecz, że chętnie powitają współpracę z nami w zakresie cen. Gospodarcze skutki podobnej propozycji są jasne. Jestem zdania, że każda propozycja, dotycząca cen i regulowania wywozu, będzie poważnie zbadana i sumienny wysiłek w celu uzyskania porozumienia będzie zrobiony. Jestem też przekonany, że polski przemysł węglowy nie uczyni nic bez zasięgnięcia rady swych ekonomistów i bez zgody Rządu".

„...W. Brytanja musi zaniechać nawet pozorów próżności i uświadomić sobie, że Polska chce mieć miejsce pod słońcem i że w przypadku rozpoczęcia oficjalnych rokowań przedstawiciele nasi spotkają się z gronem ludzi poważnych i odpowiedzialnych; ci ostatni rozporządzają poważnym majątkiem, są zjednoczeni we wspólnej polityce, i ożywieni gorącym patrjotyzmem".

Krótkie wiadomości gospodarcze

Przemysł cukrowniczy Czechosłowacji znajduje się, jak wiadomo, w stanie ciężkiego kryzysu, przedewszystkiem dlatego, że światowa nadprodukcja cukru silnie ogranicza możliwości wywozu czechosłowackiego przemysłu cukrowniczego, nastawionego specjalnie na eksport. Ponieważ starania o stworzenie światowego kartelu cukrowniczego można ostatecznie uważać za nieudałe, czechosłowacki przemysł ze swej strony stara się ze wzmocnioną energją przeprowadzić walkę na rynku światowym, a jako środek walki ma być użyty daleko idący „dumping". Czechosłowacki kartel cukrowniczy w ostatnich dniach postanowił **podwyżkę ceny cukru w kraju o 60 koron czeskich na 100 kg.**, ażeby przy pomocy większego utargu zastosować dumping na rynku zagranicznym. Tem samem w pierwszym rzędzie dotknięta byłaby konkurencja niemiecka i polska na rynku światowym. Wyższe obciążenie czechosłowackiego gospodarstwa z tego tytułu, które oceniają na **300 miljonów koron czeskich rocznie**, wywołało burzliwe protesty, zwłaszcza ze strony przemysłu, przerabiającego cukier. Ze strony socjalistycznej żądają, jako środek przeciwny, zawieszenia czechosłowackiego cła na cukier, ażeby zabezpieczyć zaopatrzenie po cenach rynków światowych. Rząd czechosłowacki chwilowo obraduje nad odpowiedniemi środkami zaradczemi.

* * *

Jak donosi gazeta handlowa „Berliner Tageblattu", zagraniczny kapitał posiada wysoki udział w eksploatacji 3-ch **polskich zagłębi węglowych**, mianowicie: górnośląskiego, dąbrowskiego i krakowskiego. Niemcy partycypują w górnośląskiem kopalnictwie węglowem 212 miljonami złotych w złocie, francusko - belgijska grupa 122 i pół miljonami, angielsko - amerykańska 110 i pół miljonami, podczas gdy na udział polskiego kapitału przypada tylko 96½ milj. złotych w złocie. Kilka niniejszych grup posiada jeszcze udział w wysokości 40 miljonów złotych. Procentowo, niemiecki kapitał reprezentuje w zagłębiu górnośląskiem **51,9** proc., angielsko - amerykański 26,5 proc., francusko - belgijski 7,8 proc., **a polski 4,9 proc.** W dąbrowskiem zagłębiu zajmuje pierwszą pozycję kapitał francusko-belgijski z udziałem 63,2 proc., reszta, to jest 35,8 proc. przypada na polski kapitał. W krakowskiem zagłębiu udział polskiego kapitału przedstawia 64 proc., francusko - belgijskiego 25,5 proc., a angielsko - amerykańskiego 6 proc.

* * *

Francuski **przemysł żelazny i stalowy**, jak to wynika ze sprawozdania rocznego „Comité de Forges", wystawił dla przyszłej francuskiej taryfy celnej szereg żądań, które specjalnie skierowane są przeciwko Niemcom. I tak dla całego szeregu produktów mają być ustanowione specjalne pozycje taryfowe, względnie podwyższone stawki taryfy minimalnej. Sprawozdanie wskazuje kilkakrotnie na to, że od dnia 15 grudnia r. b. Niemcy będą również na te produkty korzystały z taryfy minimalnej i że przeto należy pracę nad taryfą celną przyśpieszyć.

* * *

Według statystyki międzynarodowego związku przędzalników bawełny ogólne spożycie światowej, surowej bawełny spadło w roku 1928, kończącym się 31 lipca, w porównaniu z poprzedzającemi 12 miesiącami z 25,881 na 25,540 tysięcy bel. Spożycie bawełny amerykańskiej zmniejszyło się o 373,000 na 15,407 tysięcy bel, wschodnio-indyjskiej o 673,000 na 4,523 tysięcy bel, a egipskiej z miljona bel na 956,000 bel.



Ś. P. FRANCISZEK XAWERY FIERICH.

Zmarłemu nagle ś. p. prof. Franciszkowi Xaweremu Fierichowi, uczonemu o sławie europejskiej, zasłużonemu wychowawcy kilku pokoleń prawników polskich i współtwórcy jednolitego polskiego kodeksu praw poświęca krakowski „Czas" obszerne wspomnienie , w którem m. in. pisze:

Ś. p. Fr. Xsawery Fierich, urodzony w roku 1860 w Krakowie, był synem Edwarda, a młodszym bratem Maurycego, obu profesorów wydziału prawa Uniw. Jag., a obu znakomitych jurystów. Wychował się też w atmosferze prawdziwego kultu dla prawa, co spotęgowało wrodzone jego uzdolnienie w tym kierunku. Po ukończeniu studjów gimn. i uniwersyteckich w Krakowie udał się zagranicę, gdzie w Berlinie i Lipsku dopełnił fachowego wykształcenia. Stamtąd też przywiózł, jako owoc studjów, rozprawę, na podstawie której habilitował się w r. 1889 do prawa handlowego i wekslowego. Niebawem rozszerzył swoje naukowe pole działania na dział procesu cywilnego, ogłaszając w roku 1891 i 1892 prace: „O władzy dyskrecjonalnej sędziego w ustnem postępowaniu" oraz „O zadaniach sądów polubownych". W roku 1892 został najprzód nadzwyczajnym, niebawem zwyczajnym profesorem procesu cywilnego, zajmując katedrę po swym ojcu, który tenże przedmiot wykładał. Upłynął zaledwie krótki czas, a młody profesor zasłynął i w kraju i zagranicą jako jeden z najwybitniejszych procesualistów. Zjednały mu tę sławę zarówno znakomite, jasne wykłady, pozostające dotąd w pamięci jego uczniów, jak i podręcznik „Procesu", ogłoszony w latach 1898—1900. Były to lata, w których weszła w życie nowa austrjacka procedura cywilna, oparta konsekwentnie na zasadzie ustności, a ś. p. Fierich, pierwszy w Austrji, ujął ją w system naukowy i dokonał w ten sposób pierwszorzędnego a trudnego zadania teoretycznego.

Rozpoczęły się odtąd lata mozolnej naukowej i obywatelskiej pracy.

W Uniwersytecie powierzono mu godność rektora w r. 1908, którą sprawował z wielką dla instytucji korzyścią.

Cieszył się też podziwem i sympatją całego polskiego świata prawniczego, z którym stykał się niejednokrotnie na ogólno-polskich zjazdach prawniczych, odbywanych przed wojną. Jeden z nich sam znakomicie zorganizował w Krakowie. Prowadził też przez to 20 redakcję „Czasop. prawa i ekonomji", wydawanego przez krakowski Wydział prawniczy.

Okoliczności te sprawiły, że kiedy w roku 1920 powołano do życia polską Komisję Kodyfikacyjną, głos powszechny prawników polskich wskazał na niego jako na Prezydenta i organizatora tej komisji. Istotnie rozwinął w niej żywą działalność, oddając się jej pracom całą duszą. Doprowadził w ciągu lat dziewięciu do wypracowania całego szeregu projektów ustawodawczych, a sam zredagował w przeważnej części projekt procedury cywilnej. Jest prawdziwym tragizmem, że zmarł w chwili, w której najważniejsze dzieło jego życia już, już dobiega końca. Nie dożył radosnej chwili, do której tęsknił, chwili ujednostajnienia prawa prywatnego, karnego i procesowego w naszej Ojczyźnie — a przecież maxima pars erit tego dzieła. To jest zasługa, której mu i najdalsze pokolenia nie zapomną — korzystające ze zburzenia czterech odrębnych ustawodawstw na ziemiach polskich i zastąpienia ich własnemi znakomitemi ustawami.

CO Z TAKIMI ROBIĆ?

„Gazeta Warszawska" przynosi następującą informację, zamieszczając ją na pierwszej stronie pod nagłówkiem „Zakaz odczytu o masonerji".

Wczoraj o godzinie 8-ej wieczorem miał się odbyć drugi zkolei odczyt ks. prałata M. Godlewskiego p. t. „O celach Masonerji". Na krótko przed odczytem zjawił się na plebanji u ks. pr. Godlewskiego policjant i oznajmił z polecenia starostwa grodzkiego, że odczyt został zakazany.

Ks. prałat Godlewski zażądał piśmiennego zaświadczenia, potrzebnego w takich wypadkach. Policjant go nie miał. Wobec tego ks. prałat Godlewski oświadczył, że odczytu nie odwołuje, rzeczą zaś przedstawiciela władzy jest uniemożliwienie odczytu.

Istotnie na polecenie ks. prałata Godlewskiego zapalono światła w sali odczytowej w podziemiach kościoła Wszystkich Świętych i oczekujący tłum parafjan zajął miejsca.

Ks. prałat Godlewski, rozpoczynając odczyt, wezwał słuchaczy, aby zgłosili się następnego dnia do zakrystji i zaświadczyli podpisami, iż żadnego napadu na przedstawiciela władzy na poprzednim odczycie o masonerji nie było, wbrew temu, co oszczerczo napisał „Głos Prawdy", poczem scharakteryzował w dobitnych wyrazach okoliczności, w jakich przystępuje do odczytu. Obecny na sali policjant, ogłosił w tym momencie, że odczyt odbyć się nie może. Na to ks. prałat Godlewski wezwał zebranych parafjan, aby udali się z nim do kościoła przed ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Tam w podniosłym nastroju odśpiewano „Pod Twoją Obronę".

Oto jak nadużywa się uczuć religijnych do celów politycznych. Co z takimi robić?

O MECZET W WARSZAWIE.

W jednym z ostatnich numerów „Kurjera Warszawskiego" znajdujemy następującą wzmiankę kronikarską:

„Rozważające podanie gminy mahometańskiej w Warszawie w sprawie wyznaczenia terenów na budowę meczetu, komisja regulacji miasta nie zgodziła się, aby meczet ten stanął na Pradze w pobliżu cerkwi rosyjskiej. Prawdopodobnie przyznany będzie teren w innem miejscu, mianowicie w pobliżu cmentarza mahometańskiego na Woli".

Za zajęcie takiego stanowiska w sprawie meczetu w Warszawie szanowna komisja regulacji miasta powinna dostać porządnego „nosa" od kogo należy. Panowie ci dowiedli bowiem, że nie posiadają ani krzty zrozumienia dla spraw ogólniejszych i związanych z pierwszorzędnemi interesami państwa.

Nie trzeba na to zbyt wielkiego rozumu politycznego, by zrozumieć, że nie chodzi tutaj o postawienie domu modlitwy dla kilkunastu piekarzy muzułmańskich czy rzeźników końskich warszawskich (rzeźnie końskie bez wyjątku prawie znajdują się w Warszawie w ręku mahometan), lecz o budowę świątyni dla wyznania, w stosunku do którego Polska posiada aż nazbyt wiele powodów, by okazywać mu uprzejmość i względy. Na kresach wschodnich mieszkają bardzo licznie Polacy-mahometanie, których patrjotyzm i uczucia obywatelskie mogłyby posłużyć za wzór nawet dla tak szanownego grona, jakiem jest warszawska komisja regulacji miasta. To jeden wzgląd, aby nieco oględniej traktować prośbę o wydzielenie placu na budowę świątyni mahometańskiej w stolicy. A drugi wzgląd — niemniej ważny od pierwszego — to ten, że Polska słusznie uważa się za pomost pomiędzy zachodem i wschodem, który jest przeważnie mahometański. Jeżeli więc Polska pragnie odegrać rolę pomostu i łącznika pomiędzy zachodem a bliskim wschodem mahometańskim, musi starać się o to, aby z wschodem łączyły ją tak samo dobre stosunki jak z zachodem. Kierownicze sfery rządowe rozumieją to doskonale i dowiodły tego zrozumienia, urządzając dla króla Afganistanu takie same przyjęcie, jakie urządziły swego czasu dla króla Rumunji i jakieby urządziły dla głowy każdego innego państwa zachodniego. Także przyjęcie, jakiego doznał od rządu polskiego bawiący niedawno w Warszawie minister spraw zagranicznych Persji, wskazuje, jak dalece sfery rządowe polskie rozumieją znaczenie mahometańskiego wschodu i rolę, jaką odegrać powinna Polska w stosunku z tym wschodem.

A tu naraz wyskakuje taka komisja regulacyjna i orzeka, że w stolicy Polski niema miejsca na postawienie świątyni mahometańskiej, i że conajwyżej można zgodzić się na postawienie jej w jakimś najodleglejszym kącie, na najmniej dostępnem przedmieściu.

Uchwała tego szacownego grona powinna być jaknajrychlej uchylona. Na meczet musi się znaleźć miejsce nietylko w dobrym punkcie Pragi, ale nawet w jednej z najlepszych dzielnic samej Warszawy. Będziemy bowiem mieli z biegiem czasu coraz więcej gości z bliskiego wschodu, którzy nietylko z wizytami do nas przyjeżdżać będą, ale także i z zamówieniami — przyjdzie czas, że Polacy podejmą dawne tradycje polskiej pracy kulturalnej wśród mahometańskich narodów na bliskim wschodzie. A w jednym i drugim wypadku dobrze i korzystnie będzie dla nas gdy będziemy mogli wykazać, że dla świątyni Proroka w stolicy Lechistanu znalazło się honorowe i poczesne miejsce.

Meczet potrzebny jest w stolicy Polski i to na honorowem miejscu — potrzebny jest przedewszystkiem na pokaz — tak jak na paradne mundury naszywa się złote guziki, chociaż nic nie zapinają. Ta kurtuazja opłaci nam się, a przedewszystkiem jest ona naszym obowiązkiem, mamy bowiem w stosunku do mahometańskiego wschodu niejeden dług wdzięczności do spłacenia. Niechaj więc po tej „mądrej" uchwale sławetnej komisji regulacyjnej miasta Warszawy jaknajrychlej ani śladu nie pozostanie.

PRZECIWNIK LENINA.

Jak wiadomo, Lenin mieszkał do ostatniej chwili przed powrotem swoim do Rosji w Zurychu. Obecnie Zurych posiada radę miejską, w której większość mają socjaliści. Socjalistyczna większość radziecka zapragnęła w jakiś trwały sposób przekazać potomności wieść o tem, że w Zurychu mieszkał ten, który pewnego dnia powstał, by dokonać, aby słowo towarzysza Marksa ciałem się stało na ziemi, że w Zurychu wypracowane zostały plany rewolucji bolszewickiej i sowieckiego ustroju w Rosji i tak jak belę sera szwajcarskiego wywiezione zostało to dzieło do Rosji.

Postanowiono przeto w radzie miejskiej ufundować kamienną tablicę z napisem:

„W tym domu mieszkał Lenin i z tego domu dnia 23 września 1916 roku wyruszył w podróż do Rosji".

Tablicę pięknie wykonano i już miano oznaczyć termin uroczystego wmurowania jej w ścianę owego historycznego domu, gdy oto nagle zjawia się właściciel i gospodarz domu i kategorycznie oświadcza, że ani mu się śni godzić się na to, by w solidną ścianę jego przyzwoitego domu wmurowywano jakieś tablice na cześć najswiętniejszego lokatora, z jakim kiedykolwiek kamienicznik miał do czynienia.

Konsternacja. Próbowano tak i owak, ale kamienicznik uparł się. I jeszcze głośno począł wymyślać. „Jakto — ja mam pozwolić na takie bezeceństwo? Przecież mój dom zawaliłby się w gruzy, gdyby mu przyszło dźwigać tablicę pamiątkową dla zbója i mordercy uczciwej, solidnej, czystej, ładnie otynkowanej i w porządku utrzymanej własności nieruchomej miejskiej. Niechaj wmurowują mu tablice pamiątkowe w ściany uspołecznionych domów sowieckich, odrapanych i walących się w gruzy. Po mnie się to nie pokaże. Owszem mogę coś zrobić dla Lenina — gotów jestem na drzwiach domu wywiesić zaświadczenie policji, że Lenin został w porządku przezemnie z tego domu wymeldowany i że pokój po nim wydezynfekowałem".

I niema rady. Socjalistyczna większość w radzie miejskiej Zurychu będzie musiała przygotowaną pamiątkową tablicę schować tymczasem na strychu.

ZE SZKOŁY TAŃCA W. LIPIŃSKIEGO W ŁODZI

komunikują nam, iż zapisy na lekcje już się rozpoczęły i przyjmowane są w kancelarji przy ul. Ewangelickiej 17 m. 4 — przez cały dzień — a poza tem — w lokalu szkoły: Traugutta 1 — (gmach Grand-Hotelu) — od godz. 1—2 po poł.

Organizowane są kółka zamknięte oraz zbiorowe grupy popularne.

KWIATKI

SADYZM W MODZIE.

„Epoka" zamieszcza feljeton o modach damskich w nadchodzącym sezonie zimowym. Włosy stają na głowie z przerażenia, gdy się czyta na jakie okrucieństwa narażone będą nasze żony i córki, jeśli zechcą być modne.

„...moda postanawia, z powodów od niej najwidoczniej niezależnych, — zarysować wyraźnie biodra, pogłębić je, wydrążyć i wyżłobić, i tym sposobem delikatnie wygiąć ku tyłowi..."

Miła perspektywa! Wymyślniejszych tortur nie wynalazłby najokrutniejszy z średniowiecznych inkwizytorów. Pogłębianie, wydrążanie, żłobienie bioder damskich i „delikatne" wyginanie ich ku tyłowi... toż to sadyzm, jakaś seksualna potworność!

Ale na tem nie koniec:

„...plecy i tył w tym roku, będą wyjątkowo uprzywilejowane, ozdobione, zmarszczone, przybrane i pokrajane wskos i wpoprzek, a dokona się tu zmiana frontu kosztem przodu, najzupełniej gładkiego i nienaruszonego żadnym cięciem..."

Co na to policja i prokurator?

* * *

DO CZEGO MOŻE SŁUŻYĆ POKOJÓWKA?

Wychodząca w Kielcach „Opinja" zamieszcza artykuł, którego autor rozpacza nad upadkiem w Kielcach zamiłowania dla prawdziwej sztuki i tak oto mądrze wywodzi:

„...Sztuka nie jest byle czem. Sztuka łączy się ściśle z literaturą, z historją, z filozofją, z matematyką nawet, kto nie zna sztuki, ten uważa ją za zabawkę lub najwyżej za — dzieło talentu. Taki człowiek, nie odróżnia wstrętnej tandety sklepowej, od prawdziwego dzieła sztuki.

Poznajcie sztukę, a pojmiecie jej wartość i będziecie zdumieni, żeście jej nie szanowali. Prowincja wierzy w „Messalkę", w tancerki, które zadzierają nogi wysoko. Nie żałują grosza, by to zjawisko zobaczyć.

Przecież te nogi gołe można i u pokojówki do syta oglądać. Ocknijcie się! Przestańcie drwić ze sztuki. Myślcie o Niej! To już wiele dokonacie. Tęsknijmy do Aten! Oddalajmy się od — Azerbejdżanu..."

Oryginalne pomysły mają ci kielczanie. Nawet praktyczne. Zamiast kupować drogi bilet na Messalkę — można przecież zawołać pokojówkę i poprosić ją, by podniosła sukienkę i... pokazała nogi.

A potem można rozmyślać o tej prawdziwej i wzniosłej sztuce, o tej, co to nie jest byle czem i łączy się nawet z matematyką.

Możeby tak redakcja „Opinji" zamiast honorarjum za ten artykuł kupiła autorowi popularną książeczkę o szkodliwości pewnego nałogu, dającego także namiastkę pewnych wzruszeń. Może po zaznajomieniu się z jej treścią przestanie doradzać ludziom takie bezeceństwa.

CHEMJA.

W handlu pojawił się pewien środek leczniczy wyrobu niemieckich zakładów chemicznych „I. G.". Środek ten, będący najzwyklejszą melubryną, nosi na opakowaniu nazwę:

„Phenyldimethylpyrazolonamidomethansulfonsaures Natrium".

Ni mniej ni więcej tylko 46 liter ma to słowo, blisko dwa razy tyle, ile całe abecadło. Zaprawdę, że trudniej lekarstwo uczynić bardziej gorzkiem. Po polsku słowo to byłoby podobno jeszcze dłuższe. Niechaj więc na miły Bóg nikt nie usiłuje tego przetłumaczyć.

REKLAMA AMERYKAŃSKA.

Znana amerykańska fabryka octu „Cochrane i S-ka" rozpisała niedawno konkurs na plakat reklamowy dla swoich wyrobów. Jeden z nadesłanych projektów wyobraża Chrystusa rozpiętego na krzyżu w chwili, gdy żołnierz rzymski na lancy podaje mu gąbkę z octem dla ugaszenia pragnienia. Chrystus odwraca głowę, a napis głosi: „It is not Cochrane's!"

Anegdoty

REWOLUCJA W NIEMCZECH.

Karol Radek, który był jednym z głównych organizatorów rewolucji listopadowej w roku 1918 w Berlinie, miał bardzo małe wyobrażenie o zdolnościach rewolucyjnych mas niemieckich. Na dowód swego ujemnego sądu przytaczał zwykle następującą historję:

Było to podczas rozruchów Spartakowskich na ulicy Wilhelma. Zdala dolatywał odgłos strzałów armatnich. Masy robotników i tłumy zalały całą szeroką ulicy, wzdłuż której znajdują się najważniejsze gmachy państwowe. W tłumach panuje najwyższe podniecenie. Rozlegają się coraz głośniejsze okrzyki: „Wydać broń! Dajcie broń ludowi!"

Naraz podnosi się jakiś jeszcze silniejszy hałas, idący od placu Wilhelma, który również zalany był przez tłumy, tak że masy wtargnęły na gazony i trawniki tego placu. Nowy ten hałas zagłusza wnet okrzyki rewolucyjne i po chwili nic innego już nie słyszano, jak tylko jeden potężny okrzyk, podawany z ust do ust: „Uwaga — nie deptać po trawniku! Uwaga — nie wchodzić na gazony!"

Wydział Rejestru Handlowego
Sądu Okręgowego w Łodzi

Do rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 13580/A. **„Franciszek Przyrowski"** — sklep spożywczy. Firma istnieje — Łódź, ul. Przejazd 86. Właścicielem jest Franciszek Przyrowski, Łódź, ulica Przejazd 86. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13581/A. **„Dawid Rajnerman"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1919 roku w Łodzi, ul. Składowa 11. Właściciel — Dawid Rajnerman, Łódź, Składowa 11. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13582/A. **„Michał Miliband"** — agentura. Firma istnieje od 1908 roku. Łódź, ul. Narutowicza Nr. 35. Właściciel Michał Miliband, ul. Narutowi-
[redacted] zy nie zawarł.
[redacted] **„Ludwika Ociepko"** — bufet III-ej
[redacted] Łódź-Fabryczna. Firma istnieje od
[redacted] ścicielka Ludwika Ociepko, Łódź, ul.
[redacted] Intercyzy nie zawarła.
[redacted] **„Hersz-Ber Ziontkowski"** — sklep
[redacted] dź, ul. Piotrkowska 64. Właściciel
[redacted] tkowski, Łódź, ul. Piotrkowska 64.
[redacted] zawarł. Firma istnieje od 1898 roku.
[redacted] **„Antoni Tarkowski"** — Mleczarnia.
[redacted] d 1914 roku, Łódź, Kilińskiego Nr. 89.
[redacted] oni Tarkowski, Łódź, Kilińskiego 89.
[redacted] awarł.
[redacted] A. **„Andrzej-Konstanty Radomski"** —
[redacted] Firma istnieje od 1910 roku. Łódź,
[redacted] 32. Właściciel Andrzej-Konstanty Radomski, Łódź, ul. Składowa 22. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13587/A. **„Eugenjusz Szamowski"** — sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 sierpnia 1927 roku, Łódź, ul. Gubernatorska 28. Właściciel Eugenjusz Szamowski, Łódź, ul. Gubernatorska 28. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13588/A. **„Agnieszka Majeranowska"**, sklep spożywczy. Firma istnieje od 1896 roku, Łódź, ul. Składowa 19. Właścicielka Agnieszka Majeranowska, Łódź, ul. Składowa 19. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13589/A. **„Karolina Stanecka"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, ul. Składowa 32. Właścicielka Karolina Stanecka, Łódź, ul. Składowa 32. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13590/A. **„Rudolf Schielke"** — zakład fryzjerski. Firma istnieje od 1896 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 72. Właściciel Rudolf Schielke, Łódź, ulica Piotrkowska 118. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13591/A. **„Szepsel Fiszman"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, ul. Andrzeja 14. Właściciel Szepsel Fiszman, Łódź, Wólczańska 67. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13592/A. **„Icek-Majer Olsztejn"** — drobny zakup starego żelaza dla sprzedawców. Firma istnieje od 1921 roku, Łódź, ul. Traugutta 13. Właściciel Icek-Majer Olsztejn, zam. przy ul. Brzezińskiej Nr. 25. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13593/A. **„Izrael Szmulewicz"** — sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 1908 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 62. Właściciel Izrael Szmulewicz, Łódź, ul. Piotrkowska 62. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13594/A. **„Seweryn Szczygielski"** — detaliczna sprzedaż węgla i drzewa. Firma istnieje od 9-go czerwca 1928 roku, Łódź, ul. Kolejowa 3. Właściciel Seweryn Szczygielski, ul. Anny 33 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13595/A. **„Mojszek Lajzer Rotkopf"** — sprzedaż paszy. Firma istnieje od 1913 roku, Łódź, ulica Kilińskiego 75. Właściciel Moszek-Lajzer Rotkopf, Łódź, ul. Zgierska 9. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13596/A. **„Łaja Lipszyc"** — sklep kolonjalny. Firma istnieje od 1924 roku, Łódź, ul. Składowa Nr. 16. Właścicielka Łaja Lipszyc, Łódź, Składowa Nr. 16. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13597/A. **„Jakub Najdek"** — wyrób towarów półwełnianych. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 r., Łódź, ul. Piotrkowska 58. Właściciel firmy Jakub Najdek, zamieszkały w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej Nr. 58. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13598/A. **„Isere Okowit"** — herbaciarnia, sprzedaż ciastek i słodyczy. Firma istnieje od 1-go stycznia 1928 roku. Właściciel Iser Okowit, zam. przy ulicy Skwerowej 22 w Łodzi, tamże siedziba firmy. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13599/A. **„Aleksander Korzecki"** — sprzedaż wędlin i mięsa. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, ul. Radomska 8. Właściciel Aleksander Korzecki, zamieszkały przy ul. Radomskiej 8. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13600/A. **„Marjanna Przybył"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1919 roku, Łódź, ulica Orla 12. Właścicielka Marjanna Przybył, zmaieszkała przy ul. Orla 12 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13601/A. **„Antoni Brzeziński"** — herbaciarnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Konstantynowska 69. Właściciel Antoni Brzeziński, ul. Konstantynowska 69. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13602/A. **„Bławatnia" — właścicielka Fajga Landau"** — sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 9 lipca 1928 roku, Łódź, ul. Ogrodowa 3. Właścicielka Fajga Landau, zamieszkała w Łodzi, ul. Północna Nr. 12. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13603/A. **„Juljusz Rypp"**. Pośrednictwo handlowe. Firma istnieje od 1 września 1927 roku, Łódź, ul. Sienkiewicza 7. Właściciel Juljusz Rypp, Łódź, ul. Sienkiewicza 7. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13604/A. **„Zakład Pieczętarski — Perec Sztyft.** Firma istnieje od 1907 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 66. Właściciel Perec M. Sztyft, zamieszkały przy ul. Piotrkowskiej 66. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego 15 października 1907 roku za Nr. R. 3872 przed notarjuszem Trojanowskim w Łodzi ustalona została między właścicielem firmy i żoną jego Tolą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13605/A. **„Izrael Tyller"** — przedsiębiorstwo budowlane, Łódź, ulica Magistracka 16. Właściciel Izrael Tyller, zamieszkały w Łodzi, ul. Magistracka Nr. 16. Prokurentem firmy jest Sara Tyller. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego 26 stycznia 1917 roku przed notarjuszem Chrempińskim w Zgierzu ustalona została między Izraelem Tyllerem i żoną jego Surą, wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13606/A. **„Krajndla Łukin"** — ekspedycja paczek. Firma istnieje od 1923 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 88. Właścicielka Krajndla Łukin, Łódź, ul. Nowo-Cegielniana 38. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13607/A. **„Chaim-Mordka Zygband"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1921 roku, Łódź, ulica Przejazd 68. Właściciel Chaim-Mordka Zygbard — Łódź, ul. Przejazd 68. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13608/A. **„Kazimierz Madej"** — sklep tytoniowy. Firma istnieje od 6 sierpnia 1927 roku, Łódź, ul. Przejazd 40. Właściciel Kazimierz Madej, zam. w Łodzi, ul. Przejazd 40. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13609/A. **„Anna Stoller"** — piwiarnia. Firma istnieje od 1924 roku, Łódź, ul. Przejazd Nr. 50. Właścicielka Anna Stoller, Łódź, ul. Przejazd 50. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielką firmy, a jej mężem wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13610/A. **„Kazimiera Andrzejewska"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1908 roku, Łódź, ulica Andrzeja 42. Właścicielka Kazimiera Andrzejewska, Łódź, ul. Andrzeja 42. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13611/A. **„Abram Wajcman"** — kupno i sprzedaż starych rzeczy i mebli. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ul. Narutowicza 19. Właściciel Abram Wajcman, zamieszkały w Łodzi, ul. Sienkiewicza 29. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13612/A. **„Fabjan Ader"** — wyrób manufaktury. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku Łódź, ul. Piotrkowska 58. Właściciel Fabjan Ader, zamieszkały w Łodzi, ul. Konstantynowska 30. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13613/A. **„Michalina-Aniela Szantyr"**. Drobna sprzedaż nabiału. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, ul. Przejazd 52. Właścicielka Michalina-Aniela Szantyr, Łódź, Przejazd 52. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13614/A. **„Anna Wihan"** — sklep kolonjalno-spożywczy, sprzedaż słodyczy, owoców i wody sodowej. Firma istnieje od 1 lipca 1927 roku, Łódź, ul. Przejazd 46. Właścicielka firmy Anna Wihan, Łódź, Przejazd 46. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13615/A. **„I. G. Van-de-Weg" — właścicielka Janina Gierarda Wistehube"** — kwiaciarnia. Firma istnieje od 1908 roku, Łódź, Piotrkowska 96. Właścicielka Janina-Gerarda Wistehube, zam. w Rudzie Pabjanickiej, ul. Miła Nr. 4. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13616/A. **„Zofja Cegłowska"** — sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ul. Kopernika 14. Właścicielka Zofja Cegłowska, zam. w Łodzi, ul. Kopernika Nr. 14. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13617/A. **„Gabryel Ławit"** — sklep spożywczy i nabiał. Firma istnieje od 1900 roku, Łódź, ul. Narutowicza 1. Właściciel Gabryel Ławit, ul. Wschodnia Nr. 70 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13618/A. **„Wilhelm Kunce"** — Mechaniczna tkalnia zarobkowa. Firma istnieje od 15 listopada 1926 roku, Łódź, ul. Karola 17. Właściciel Wilhelm Kunce, Łódź, ul. Radwańska 41. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13619/A. **„Aron Kacenelenbogen"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Zamenhofa 6. Właściciel — Aron Kacenelenbogen, zamieszkały w Łodzi, ul. Zamenhofa 6. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13620/A. **„Majer Geldman"** — Fabryka wyrobów trykotowych. Firma istnieje od 1-go stycznia 1927 roku, Łódź, ul. Północna 9. Właściciel firmy Majer Geldman, zamieszkały w Łodzi, ul. Północna Nr. 9. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13621/A. **„Franciszek Kempa"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 października 1925 roku, Łódź, ul. Wólczańska 141. Właściciel Franciszek Kempa, zam. w Łodzi, ul. Wólczańska 141. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13622/A. **„Franciszek Krawczyk"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ulica Gdańska 144. Właściciel firmy Franciszek Krawczyk Łódź, ul. Gdańska 144. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13623/A. **„Drejzla Kuperminc"** — cukiernia i mleczarnia. Firma istnieje istnieje od 1 maja 1927 roku, Łódź, Andrzeja 28. Właścicielka Drejzla Kuperminc, Łódź, Andrzeja 28. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13624/A. **„Dyna Bogomolna"** — drobna sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 14 czerwca 1928 roku, Łódź, ul. Ogrodowa 3. Właścicielka Dyna Bogomolna, zamieszkała w Łodzi, ul. Kamienna 16. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13625/A. **„Kopel Szyff"** — sprzedaż desek i drzewa opałowego. Firma istnieje od 1 sierpnia 1927 roku, Łódź, ul. Narutowicza 51. Właściciel Kopel Szyff, zamieszkały w Łodzi, Kilińskiego 64. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13626/A. **„Walenty Wasiak"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 lutego 1927 roku, Łódź, ul. Przejazd 76. Właściciel Walenty Wasiak, Łódź. Przejazd 76. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13627/A. **„Piotr Brykalski"** — sklep kolonialno-spożywczy. Firma istnieje od 1923 roku, Łódź, ul. Karola 26. Właściciel Piotr Brykalski, zamieszkały w Łodzi, ul. Karola Nr. 26. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13628/A. **„Szaja Raczyński"** — sprzedaż materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1923 roku, Łódź, ul. Gdańska 90. Właściciel Szaja Raczyński, Łódź, ul. Gdańska 90. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13629/A. **„Januarjusz Zdziennicki — Biuro Handlowe"**. Firma istnieje od 1 kwietnia 1928 roku, Łódź, Kilińskiego 85. Właściciel Januarjusz-Konstanty Zdziennicki Łódź, ul. Kilińskiego 85. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13630/A. **„Wojciech Salwa"** — kwiaciarnia. Firma istnieje od 1907 roku, Łódź, ul. Narutowicza Nr. 27, filja przy ul. Moniuszki 2 w Łodzi. Właściciel Wojciech Salwa, zamieszkały w Rudzie Pabjanickiej, ul. Szkolna Nr. 5. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13631/A. **„Chaim Brajtbart"** — sprzedaż farb malarskich. Firma istnieje od 11 stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Andrzeja 18. Właściciel Chaim Brajtbart, Łódź, ul. Wólczańska 65. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13632/A. **„Stanisława Cyranowska"** — piwiarnia. Firma istnieje od 1 września 1927 roku, Łódź, ul. Kopernika 61. Właścicielka Stanisława Cyranowska, zamieszkała w Łodzi, ul. Kopernika 61. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13633/A. **„Kordula Waśniewska"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku, Łódź, Sienkiewicza 32. Właścicielka Kordula Waśniewska Łódź, Sienkiewicza 32. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13634/A. **„Abram-Juda Lipman"** — pończoszarnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku, Łódź, ul. Składowa 23. Właściciel Abram-Juda Lipman, Łódź, Składowa 23. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13635/A. **„Anna Bahr"**, kwiaciarnia i sprzedaż warzywa, Piotrkowska 209. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Właścicielka Anna Bahr zam. w Łodzi, ul. Emilji Nr. 58. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13636/A. **„Bronisław Wodzisławski** — drodna sprzedaż węgla. Firma istnieje od 1927 roku, Łódź, Kolejowa 5-b. Właściciel Bronisław Wodzisławski, Łódź, ul. Narutowicza 56. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13637/A. **„Rudolf Braun"** — sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, ul. Andrzeja 52. Właściciel Rudolf Braun, Andrzeja 52. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13638/A. **„Bruno Buchenhaim"**. Przedsiębiorstwo wiertnicze i wodociągowe. Firma istnieje od 1911 roku, Łódź, Gdańska 99. Właściciel Bruno-Adolf-Walter Buchenhaim, Łódź, ul. Gdańska 99. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13639/A. **„Stefanja Dzierzgwa"** — sklep spożywczy i owoce. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, Zamenhofa 18. Właścicielka Stefanja Dzierzgwa Łódź, Zamenhofa 18. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13640/A. **„Edmund Brendel"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 15 października 1927 r., Łódź, ul. Kopernika 34. Właściciel Edmund Brendel, Łódź, Kopernika 34. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13641/A. **„Franciszek Buc"** — Drobna sprzedaż galantrji. Firma istnieje od 1 lipca 1927 roku, Łódź, Piotrkowska 105. Właściciel Franciszek Buc, ul. Piotrkowska 105 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13642/A. **„Wiktor Bösig"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, ul. Gdańska Nr. 168. Właściciel Wiktor Bösig Łódź, ul. Gdańska Nr. 168. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13643/A. **„Wanda Zonnenberg"** — piwiarnia. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, ul. Przejazd 66. Właścicielka Wanda Zonnenberg, ul. Przejazd 66. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13644/A. **„Ludwika Gust"** — sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1923 roku. Właścicielka Ludwika Gust, Łódź, ul. Gdańska Nr. 152, tamże i siedziba firmy. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13645/A. **„Symcha-Lejzor Godlsztejn"** — drobna sprzedaż nafty, smarów, artykułów do prania i śledzi. Firma istnieje od 1919 roku, Łódź, ul. Anny Nr. 2. Właściciel Symcha-Lejzor Goldsztejn, Łódź, ul. Andrzeja 58. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13646/A. **„Złocień" — właściciel Wiktor Angielczyk"** — kwiaciarnia. Firma istnieje od 1 listopada 1927 roku, Łódź, ul. Andrzeja 4. Właściciel Wiktor Angielczyk, zamieszkały w Zgierzu, ulica Berka Joselowicza 33. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13647/A. **„Dawid Dębiński"** — sprzedaż dodatków szewckich i naczyń kuchennych. Firma istnieje od 1910 roku, Łódź, Karola 20. Właściciel Dawid Dębiński, Łódź, ul. Karola 20. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13648/A. **„Elfryda Fengler"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1919 roku, ul. Piotrkowska 201. Właścicielka Elfryda Fengler, Łódź, Piotrkowska 201. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13650/A. **„Bejla Zak"** — wyrób towarów włókienniczych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r.,

Łódź, Żeromskiego 17. Właścicielka Bejla Zak, ul. Żeromskiego 17. Prokurentem firmy jest Nuchem-Mendel Zak, Łódź, ul. Żeromskiego Nr. 17. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13651/A. **„August Wandt"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, Wólczańska Nr. 146. Właściciel August Wandt, Łódź, Wólczańska 146. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13652/A. **„Albert Zajde"** — jadłodajnia. Firma istnieje od 1 kwietnia 1928 roku. Łódź, ul. Karola 22. Właściciel Alberet Zajde, Łódź, ul. Nowo-Cegielniana 17. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13653/A. **„Karol Kuske właściciel Zygmunt Kuske"** — sprzedaż łożysk kulkowych. Firma istnieje od 1909 roku, Łódź, ul. Kilińskiego 86. Właściciel Zygmunt Kuske, Łódź, Kilińskiego 86. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13654/A. **„Paweł Schönborn"** — sprzedaż towarów dzianych, trykotowych i pończoszniczych. Firma istnieje od 1 sierpnia 1927 roku, Łódź, ul. Sienkiewicza 52. Właściciel Paweł Schönborn, Łódź, ul. Wysoka Nr. 31. Na mocy aktu intercyzy z dnia 18 lutego 1927 roku za Nr. 897, zeznanego przed notarjuszem Rossmanem w Łodzi, ustalona została między właścicielem firmy, a żoną jego Otylją, wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13655/A. **„Emilja Elsner"** — Jadłodajnia, z wyszynkiem piwa. Firma istnieje od 1924 roku, Łódź, ul. Andrzeja 10. Właścicielka Emilja Elsner, Łódź, Andrzeja 10. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13656/A. **„Antoni Frankus"** — cukiernia. Firma istnieje od 1899 roku, Łódź, ul. Andrzeja Nr. 34. Właściciel Antoni Frankus, Łódź, ul. Andrzeja 34. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13657/A. **„Rajnhold Faustman"** — detaliczna sprzedaż mięsa i wędlin. Firma istnieje od 1918 r., Łódź, ul. Anny Nr. 27. Właściciel Rajnhold Faustman, Łódź ul. Anny 27. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13658/A. **„Marjanna Wodnicka"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ul. Przejazd 22. Właścicielka Marjanna Wodnicka, Łódź, ul. Przejazd Nr. 22. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13659/A. **„Karolina Gamert"** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1925 roku Łódź, ul. Zamenhofa 34. Właścicielka Karolina Gamert, Łódź, ul. Zamenhofa Nr. 34. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13660/A. **„Jan Balski"** — Komisowa sprzedaż platerów i srebra. Firma istnieje od 1-go kwietnia 1927 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 99. Właściciel Jan Balski, Łódź, ul. Aleje Kościuszki 37. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13661/A. **„Stanisław Gabała"** — sprzedaż mebli i zakład tapicerski. Firma istnieje od 1918 r., Łódź, ul. Karola Nr. 1. Właściciel Stanisław Gabała, ul. Karola 1. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13662/A. **„Antoni Głowacki"** — piwiarnia. Firma istnieje od 1 lipca 1926 roku, Łódź, ul. Anny Nr. 20. Właściciel Antoni Głowacki, Łódź, Anny 20. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13663/A. **„Waldemar Endler"** — Pończoszarnia. Firma istnieje od 1927 roku, Łódź, ul. Radwańska Nr. 51. Właściciel Waldemar Endler, Łódź, ul. Radwańska 51. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13664/A. **„Brun Pawlak"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, Sienkiewicza 7. Właściciel Brun Pawlak, Łódź, Sienkiewicza Nr. 7. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13665/A. **„Paweł Futterleib"** — Restauracja. Firma istnieje od 1907 roku, Łódź, ul. Wólczańska Nr. 156. Właściciel Paweł Futterleib, Łódź, ul. Wólczańska 156. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13666/A. **„August Foerster"** — Jadłodajnia. Firma istnieje od 1917 roku, Łódź, ul. Zamenhofa 10. Właściciel August Foerster, Łódź, ul. Zamenhofa 10. Intercyzy nie zawarł.

Wyciąg ze Sprawozdania Jeneralnej Komandji Przemysłu Przędzalniczego, Towarzystwa Anonimowego Zakładów ALLART, ROUSSEAU i S-ka

w Łodzi, ul. Kątna № 19

za 1927/1928 rok operacyjny (od 1 lutego 1927 do 31 stycznia 1928 r.) 292

BILANS na dzień 31 stycznia 1928 r.

Aktywa		Złote i grosze
Nieruchomości, maszyny i urządzenia		13,083,008.03
Wyroby i materjały		28,583,292.97
Kasa, papiery procentowe i wekslowe w portfelu		10,386,910.42
Debitorzy		21,885,759.96
		73,938,971.38
Pasywa		
Centrala w Roubaix, Rachunek kapitału	10,884,365.17	
„ „ „ urządzeń powojennych	2,146,277.86	
„ „ „ Amortyzacji	5,292,666.73	18,323,309.76
Kredytorzy: Centrala w Roubaix, Rachunek towarowy		49,133,271.55
Kredytorzy		4,422,894.66
Zysk netto za rok 1927/28		2,059,495.41
		73,938,971.38

RACHUNEK ZYSKÓW I STRAT

Ma		
Nadwyżka brutto z rachunku Towarów i różne wpływy		8,382,771.49
Wpływy z długów wątpliwych lat ubiegłych		173,645.78
		8,556,417.27
Winien		
Podatki i opłaty stemplowe	1,397,886.91	
Świadczenia socjalne	417,920.86	
Procenty i prowizje, koszty handlowe	3,139'808.94	
Strata na dłużnikach	499,783.85	5,455,400.56
	Zysk	3,101,016.71
	Z tego na amortyzację budynków i maszyn	1,041,521.30
	Zysk netto	2,059,495.41

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Piotrkowska 85. 67528